CENA 20 ZŁ

W numerze: Jan Paweł Gawlik — „Hierarchia grozy".

CZYTELNIK

Odra
tygodnik

WROCŁAW

KATOWICE

NUMER 40 (149) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 3 PAŹDZIERNIKA 1948 ROK IV

WILHELM SZEWCZYK

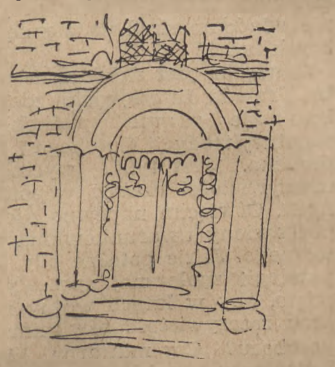
RYS. LUCYNA WRANIK

Geografia literacka Ziem Odzyskanych

Osadnictwo literackie na Ziemiach Odzyskanych dotąd nie zostało zbadane należycie, choć z badań takich wyniknąć mogłaby wielka korzyść dla ogólnego planowania kulturalnego. Osadnictwo literackie na Ziemiach Odzyskanych od samego początku, zamiast być wynikiem naturalnej ekspansji kulturalnej na nowo odzyskane tereny, było jedynie aktem dobrej woli ze strony pisarzy, która gdzieniegdzie krzyżowała się jeszcze z dobrą wolą urzędników administracji państwowej. Gdy poznamy warunki bytowania pisarzy na tych ziemiach, zrozumiemy, dlaczego jest ich tutaj tak mało. Ale sprowadzanie tego jedynie do sytuacji materialnej, to zaledwie połowa prawdy. Ta połowa jednak obciąża Ministerstwo Kultury i Sztuki, Związek Zawodowy Literatów Polskich i inne pokrewne instytucje kulturalne lub artystyczne. Drugą wiązkę grzechów, zaniedbań i błędów ponieść muszą sami pisarze. Oni to bowiem w masie swej, a w każdym razie na pozycjach najbardziej szczytowych lub reprezentacyjnych nie związali się dotąd z problematyką Ziem Odzyskanych w ten sposób, by wpłynęło to zarówno na reorganizację życia literackiego w Polsce, z czym łączy się sprawa osadnictwa literackiego na Ziemiach Odzyskanych, jak i na naturalne i powszechne poszerzenie tematyki utworów literackich o tę właśnie nową problematykę. Toteż zarys geografii literackiej Ziem Odzyskanych przypomina nam realizację pewnego osobliwego systemu sztucznego zapładniania. Ziemie Odzyskane zyskują na tym wciąż jeszcze nie wiele, a o trwałych związkach pisarzy z nimi w tej sytuacji nie może być mowy. Być może, że optymistyczny patos zaprzeczy temu, fakty jednak tę nietrwałość potwierdzą...

I.

Region jeleniogórski dał najwcześniejsze i jak dotąd najciekawsze formy osadnictwa literackiego. Tu kierowała się pierwsza fala osadników literackich, którzy nie szukali na nowej ziemi posad, ani nie zamierzali korzystać z istniejącej tu koniunktury handlowej, a pragnęli jedynie znaleźć dom, w którym urządziliby sobie spokojny twórczy warsztat pracy. Z początku z pewnością nie przeczuwali oni nawet całego uroku nowej problematyki, która później zaciąży nad twórczością niejednego z nich. Sprawa urządzenia warsztatu pracy, z dala od trudności mieszkaniowych, od wypalonych i zburzonych miast centralnej Polski, była najważniejsza. Początek



osadnictwu literackiemu w regionie jeleniogórskim dał Edward Kozikowski, ceniony w swoim czasie poeta grupy „Czartaka". Z tradycji czartakowskich, do których Kozikowski tak bardzo jest przywiązany, wolno nam także wyprowadzić dalszy rozwój grupy jeleniogórskiej.

Rozwój ten poszedł w kierunku dość nieoczekiwanym. Grupa pisarzy, powiązanych właściwie tylko nową przynależnością terenową, a różniących się między sobą skalą talentu, rodowodem, rodzajem i obliczem twórczości, postanowiła siebie nazwać grupą ideową pisarzy sudeckich. Na „pierwszym zjeździe pisarzy ziemi sudeckiej", urządzonym w dniach od 8 — 11 maja 1947 w Jeleniej Górze, przy intensywnym poparciu miejscowego starosty, Kozikowski odczytał deklarację ideową pisarzy sudeckich, która wzbudziła wiele zastrzeżeń w kołach nie tylko literackich całej Polski. Niejasność takich sformułowań jak: „Sudety to — kraj rzucający się w oczy swoją odrębnością i terytorialną i klimatyczną i ustrojową(!), nie mówiąc już o tradycjach i zwyczajach ludowych..." lub łagodny szantaż w słowach: „każde nieżyczliwe i złą wolą podyktowane ustosunkowanie się do naszej pracy, ze względu na specjalne warunki polityczne, skłonni jesteśmy traktować jako posunięcie szkodliwe" — nie usposabiały do poważnego i życzliwego traktowania całego tego ruchu sudeckiego. Jakież to ostatecznie „historyczne i religijno-społeczne elementy, dobyte z przeszłości Sudetów" zużytkować mógł przy tworzeniu wartości kulturalnych autor „Białej foki", czy autorka „Akwamaryny", oboje nazwani pisarzami sudeckimi? Nie tylko te nazwiska musiały budzić zdziwienie w zespole popisującym się ideologią tak nieprzemyślną i politycznie, mimo liczne aktualne akcenty, szkodliwą. Biła z tej deklaracji, która na szczęście jest jedynym pisanem dokumentem owego neosudetyzmu i w twórczości pisarzy jeleniogórskich z tymi swoimi wątpliwymi krańcowymi sformułowaniami nie znalazła żadnego echa, także prosta nieznajomość historii tej ziemi. Podziw wzbudziła jedynie gorliwość, z jaką pisarze ci pragnęli służyć ziemi, na której osiedli. Szkoda, że dla służby tej na samym początku znaleziono niewłaściwe akcenty.

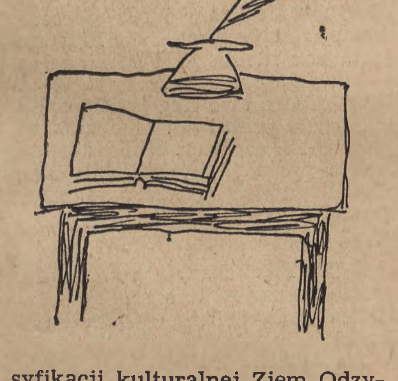
Program „grupy sudeckiej" uchwalony na wspomnianym zjeździe i ujęty w 5 punktach, nie był programem grupy literackiej, a zawierał szerokie kulturalno-społeczne obowiązki, których wykonanie nie leżało w możliwościach kilkunastu pisarzy, z tego dziesięciu blisko początkujących (członkowie - kandydaci ZZLP). Nawet stosunkowo łatwy do zrealizowania postulat łączności z bratnią Czechosłowacją sformułowany został na wyrost, bez uwzględnienia realnych możliwości grupy i jej charakteru (pkt. 5: Nawiązanie jak najściślejszego kontaktu ze **społeczeństwem** (podkreślenie nasze) bratniej Czechosłowacji w zakresie wymiany wartości kulturalnych).

Dziś „grupa sudecka" już nie istnieje, w każdym razie nie akcentuje takiego swojego charakteru. W jej miejsce organizację życia literackiego przejął tu jeleniogórski Oddział Związku Zawodowego Literatów Polskich, na którego czele stanął zresztą także Edward Kozikowski. Dziś pod wpływem naprawdę trudnych warunków materialnych, w jakich znaleźli się pisarze jeleniogórscy, znikł także pierwszy optymizm, owa gorączka poszerzania obowiązków, czego dowodem jest gorzka wypowiedź Kozikowskiego w „Warszawie" nr 8/29. Zaiste nie mogła to być droga usłana różami, skoro teoretyk neosudetyzmu literackiego od ślubowania, że dołoży „wszelkich sił i możliwości, aby przyczynić się do uświetnienia ziemi i jej rozwoju kulturalnego, aby nie było żadnej wątpliwości, że ona stała się naszą Ojczyzną" („Śląsk" II, 4-5, s. 66) przeszedł do posępnego stwierdzenia, że pisarze, przesiedleni tu przez Ministerstwo Kultury, „znaleźli się bez żadnych środków materialnych, **w obcym dla siebie (?!) i nieukształtowanym środowisku"** („Warszawa" j. w., podkreślenia nasze).

W ten sposób już przy kreśleniu historii i charakteru pierwszej fali osadnictwa literackiego na Ziemiach Odzyskanych spotykamy się z problemem ubóstwa materialnego, braku opieki i wypełnienia zobowiązań przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, a więc ze sprawą niemałej wagi, a jak się później okaże nawet decydującą dla osadnictwa w pewnych regionach.

II.

Osadnicy literaccy w regionie jeleniogórskim dość szybko utworzyli zwartą grupę, która postanowiła także objąć samotników, osiadłych w pasie sudeckim, jak Wącława Mrozowskiego, poetę, przez pewien czas redaktora „Wałbrzycha", jedynego pisma tego stutysięcznego blisko miasta, wciąż jeszcze będącego białą plamą na mapie inten-



syfikacji kulturalnej Ziem Odzyskanych; jak Henryka Worcella, powieściopisarza ze Skrzynki (dawniej Henryków) spod Kłodzka, który fragmentami swej nowej powieści „Odwet" wzbudził nowe ogromne zainteresowanie dla swego talentu. Worcell jest poza pisarzami pochodzenia autochtonicznego jedynym chyba literatem-rolnikiem Ziem Odzyskanych. Jego zwierzenia z warsztatu pisarskiego, opublikowane niedawno w „Nowinach literackich" („Ludzie ze Skrzynki") mają dla nas z tego powodu wielką wartość nie tylko jako dokument literacki. Worcell jest osadnikiem w całym tego słowa znaczeniu. Jego przymierze z ziemią przybrało formy dosłowne i po jego twórczości też spodziewamy się najciekawszych i najwierniejszych efektów i doświadczeń. Kozikowski w cytowanym już wyżej artykule z przekąsem wspomina o komiwojażerach literackich. Z komiwojażerstwa narodzić się mogą dobre reportaże literackie, ale doskonalsze formy literackie z tego źródła czerpać nie mogą. Zemściło się to na powieści Jerzego Pytlakowskiego „Fundamenty", której akcja mogłaby się swobodnie odbywać w każdym innym mieście polskim, w każdej innej fabryce. Sztuka, żeby była prawdziwa, przekonywająca i oryginalna, zapamiętać musi umieć i odtworzyć ową autentyczną atmosferę miejsca, które opisuje, zbliżyć je wyobraźni przez oddalenie od rzeczy dotąd widzianych lub opisanych. Komiwojażerstwo, które istotnie stało się plagą Ziem Odzyskanych, zwłaszcza, że uprawiają je najczęściej talenty mniejszego formatu, nie zaspokoi głodu nowej tematyki. Stąd z taką ufnością spoglądamy na tych osadników literackich, którzy jak Worcell sprzęgli z odzyskaną ziemią swoje życie i losy na teraźniejszość i przyszłość.

Samotnictwo osadnicze nie jest zjawiskiem tak częstym, by można o nim mówić jako o problemie. Każdy wypadek zresztą wygląda inaczej i każdy ma inne znaczenie dla organizacji kulturalnej terenu. W Opolu osiadł St. Wasylewski. Na Opole należy wskazać jako na ważny ośrodek miejskiego osadnictwa literackiego. Stolica ziemi najbogatszej w problemy i tematy, miasto o dużych polskich tradycjach, ufundowało ostatnio dużą nagrodę literacką. Pobliska Ziemia Nyska ze swoją półmilionową nagrodą wykazuje także niemałe ambicje. Do Opola przeniesie się w przyszłości z pewnością działalność grupy górnośląskiej jako do swej po Katowicach naturalnej bazy. Na razie jest w Opolu jeden pisarz tylko i optymizm budzi fakt, że pisze nowe książki, że według własnej miary talentu i zainteresowań budzi polskie echa tej ziemi na kartach literatury.

Podróżnikowi, który by zamierzał odwiedzić literatów osiadłych na Ziemiach Odzyskanych, z pewnością nie zabrałaby podróż taka wiele czasu. Bo oto po rozmowie z Worcellem i Wasylewskim mógłby skoczyć jeszcze tylko do Romana Juraszka w Pyskowicach, mniej znanego krytyka teatralnego i powieściopisarza, któremu straszliwe kalectwo nie pozwala na uprawianie szerszej działalności w obranym środowisku. Stąd zaś w dalekiej podróży na północ, omijając na razie skupisko wrocławskie, doszłyby go słuchy, że w Gorzowie Wlkp. mieszka i pisze powieść o nowej rzeczywistości Ziem Odzyskanych pewna dziennikarka, że w Darłowie osiadł jako nauczyciel gimnazjalny pewien pisarz zagłębiowsko-śląski. Poza tym teren omieciony jest dokładnie.

W tej sytuacji byłoby i niesprawiedliwością i lekkomyślnością zapominać o czwórce pisarzy autochtonicznych. Dwoje z nich to pisarze regionalni par excellence, czerpiący z prostego dostępnego sobie tworzywa dla prostych odbiorców z najbliższego otoczenia. Twórczość ich, nieliczna i przez swój gatunek i utylitaryzm nieznana historykom literatury współczesnej, odegrała ważną rolę w kształtowaniu się polskości w danym środowisku autochtonicznym. Tych dwoje to Maria Zientarówna z Brunswałdu i Jakub Kania z Siołkowic. Zientarówna, ludowa poetka Warmii, więźniarka Ravensbrück, twórczością swoją wybiła się na czoło poezji ludowej Pomorza Mazowieckiego. Nieznana w Polsce, drukowała przed wojną w całej prawie prasie polskiej na terenie Niemiec. Po wojnie czynna jest w organizacji szkolnictwa w województwie olsztyńskim.

Jakub Kania, powstaniec śląski, rolnik siołkowicki po dziś dzień, autor „Wierszy śląskich", których trzecie wydanie ukazało się jeszcze w r. 1936, także jest już tylko zamarłą poezją na mapie literackiej Ziem Odzyskanych. Nowe procesy polityczno-społeczne wymagają innej poezji i innych twórców. Wiersze Kani jednak, gdyby je na nowo wydano, w autochtonicznej grupie ludności spełnić mogłyby ważną rolę przygotowawczą do podjęcia trudniejszej lektury, mogłyby być szkołą myślenia i czytania po polsku, co udałoby im się tym łatwiej, gdyż uwzględniają tradycyjne myślenie, do którego tak bardzo przywiązani są Ślązacy. Warto o tym pomyśleć.

Trzecie autochtoniczne zjawisko literackie jest najbardziej skomplikowane. Mowa tu o Pawle Habraszce, górniku spod Bytomia. Habraszka jest autorem trzech tomów poezji i jednego tomu humoresek górniczych. Wszystkie te książki napisał jednak po niemiecku i dzięki nim wszedł jako jedyny poeta-górnik do literatury niemiecko-śląskiej. Nie były to wiersze złe, skoro niektóre z nich nawet przełożono na język czeski. Dziś Habraszka, uległszy weryfikacji narodowościowej, próbuje pisać po polsku. Pracuje nadal w zawodzie górniczym. Przez te próby, z których kilka zaledwie opublikowały pisma śląskie po wojnie, ośmieliłem się zaliczyć go do polskiego piśmiennictwa regionalnego Ziem Odzyskanych. Polak to niewątpliwy a w całej jego niemieckiej twórczości poetyckiej nie ma ani jednego akcentu antypolskiego lub proniemieckiego, o co tak łatwo w twórczości renegatów (Scholtis, Hayduk, Gnielczyk, Fitzek, czy nawet Niekrawietz).

Wreszcie Rafał Urban z Głogówka, odkryty niedawno na konkursie nyskim, talent najtęższy, oryginalny językowo, nie będący już pisarzem ludowym, mający szersze ambicje tematyczne i artystyczne, o czym świadczy choćby drukowane w „Odrze" opowiadanie „Sprawa diabelska".



Ta czwórka w doskonały i politycznie wymowny sposób uzupełnia naszą galerię samotników literackich na Ziemiach Odzyskanych. Oni tworzą te konieczne ogniwa rozwoju literackiego na ziemiach, które przekazały nam milion z górą ludności rodzimej z tradycją i językiem polskim. Nikt z tej czwórki nie należy do ZZLP, nie są to zresztą pisarze zawodowi i poza Urbanem nie mają nawet takich ambicji — trzeba by ich jednak związać jakoś ze współczesnym nurtem literackim na Z. O., z programem kulturalnym w dziedzinie literatury. Ich wpływ w danym środowisku wciąż jest niemały. To pod rozwagę Ministerstwu Kultury i Sztuki.

III.

Wrocławskie skupisko literackie powstawało zupełnie inaczej niż jeleniogórskie. Wrocławska literatura zawdzięcza swoje powstanie Uniwersytetowi. Uniwersytet gromadził uczonych i studentów. Pierwsza trójka pionierska to Anna i Jerzy Kowalscy oraz Tadeusz Mikulski. Ta trójka, zawdzięczająca swe miejsce we Wrocławiu Uniwersytetowi, dała podstawy życiu literackiemu na terenie miasta, stworzyła Towarzystwo Miłośników Literatury i Języka Polskiego, które stało się łącznikiem między Wrocławiem a innymi środowiskami kraju. Pod redakcją Anny Kowalskiej i Tadeusza Mikulskiego zaczął wreszcie w r. 1947 wychodzić kwartalnik „Zeszyty wrocławskie", który szerokością horyzontów i doborem autorów wysunął się rychło na czoło periodyków literackich w Polsce. Jest w środowisku wrocławskim od samego początku jakiś szeroki ponadregionalny oddech, umożliwiający konkurencję z takimi środowiskami literackimi jak Łódź, Warszawa czy Kraków. Widać, że ruch ten zaczęli tu od początku tworzyć ludzie literacko i społeczno-kulturalnie dojrzali a choć było ich tak mało, rezultatami swej pracy budzą podziw i uznanie.

Jak w każdym żywym środowisku uniwersyteckim — a Wrocław wykazuje tętno niezwykle żywe — pokazały się tu grupy młodzieży literackiej, której ambicje literackie idą w parze z ta-

(Dokończenie na stronie 3)

KAZIMIERZ GOŁBA

Ostatnie chwile księcia Mikołaja

Fragment nagrodzonego na konkursie Ziemi Nyskiej dramatu „Namiestnik króla Olbrachta"

Loch więzienny pod ratuszem w Nysie. Ciemne, sklepione mury. Z lewej wysoko zakratowane okienko. Z prawej drzwi ciężko okute. Tylną ścianę zastępuje ciemna kotara. Całe zabudowanie sceny musi zmieścić się na pierwszym planie.

Ranek 27 czerwca 1497 roku. Półmrok.

KS. MIKOŁAJ: (siedzi sam zatopiony w myślach, z twarzą ukrytą w dłoniach — jest odarty z szat książęcych, ciało jego okrywa nie przystosowana do jego wzrostu lisiura).

KAPITAN TRABANTÓW: (wchodzi z ręką na temblaku): Schlaefst du?

KS. MIKOŁAJ (podnosi głowę i patrzy na przybyłego).

KAPITAN (opryskliwie): Warum guckst du so? Frecher Verbrecher! Du bist kein Herzog mehr!

KS. MIKOŁAJ (oschłym głosem): Jeśli chcesz mi coś rzec, mów moją mową, bo twojej nie rozumiem.

KAPITAN: Nie jesteś już księciem, złoczyńco!

KS MIKOŁAJ: Jeśli chcesz, bych ci odpowiadał, daj mi łyknąć wody, bo gardziel mi wyschła od wczoraj.

KAPITAN: Mogłeś napić się choćby święconej, gdyś wczoraj w kościele się schował. Hahaha! Myślałeś, iż nikt za tobą nie przestąpi progu? Iż tłum nyskich mieszczan nie pomści swojego biskupa?

KS. MIKOŁAJ: Zbeszcześciliście świątynię.

KAPITAN: Zbeszcześcił ją świętokradca.

KS. MIKOŁAJ: Wasz biskup święty nie był — z diabłem w zmowie chadzał.

KAPITAN: I ty chcesz jeszcze wody? Bodaj ci język na wiór wysechł! A moja ręka — to nic? Słuszna cię kara czeka.

KS. MIKOŁAJ (wstał nagle, zmienia ton): Ile ci lonungu płaci twój dobrodziej?

KAPITAN (zaskoczony). Lonung? A tobie co?... Nie książę-biskup, jeno miasto Nysa wzięło mnie do służby.

KS. MIKOŁAJ: Licha-ć to służba, skoro chodzisz w wytartym kaftanie. W Opolu miałbyś lepiej.

KAPITAN: Hahaha!

KS. MIKOŁAJ: Słuchaj! Dam ci dwa, trzy razy tyle, co Nysa. Zostaniesz rotmistrzem landsknechtów. Zapłacę ci za tę ranę. Przejdź do mnie!

KAPITAN: Hahaha! Rusztowanie na rynku dla ciebie już stawiają!

KS. MIKOŁAJ: Słuchaj! Każda chwila jest droga. Od ciebie tylko zależy, bych dostał się teraz do ludzi swoich i koni. Sto tysięcy talarów rozdzielę między tych, co mi w ucieczce pomogą.

KAPITAN: Sto tysięcy? Naprawdę? A skądże je weźmiesz, biedaku? Skąd weźmiesz ludzi i koni? Książę cieszyński zagarnął już wszystko dobro, coście przywieźli do Nysy. Nawet łyżki srebrne i misy, z których jedliście w podróży.

KS. MIKOŁAJ: O łotr! A gdzie moi ludzie?

KAPITAN: W loszku takim samym, jak ty — bywszy ich książę!

KS. MIKOŁAJ (chwycił się za głowę): Biada mi! Jestem zgubion! Zdradę uknuli wprzód, zanim-ech stanął w Nysie.

KAPITAN: Zgubił cię własny miecz, na głowy książąt podniesion. Sprawiedliwie jest tedy, byś od miecza zginął. Na śmierć gotuj się, Mikołaju!

KS. MIKOŁAJ (cofnął się): Na śmierć?

KAPITAN: Ksiądz tu ma przyjść — do spowiedzi.

KS. MIKOŁAJ (opadł na posłanie): Więc to aż tak? Aż tak?

GŁOSY TRABANTÓW (za sceną): Halt! Halt!

GŁOS ANNY (za sceną): Puśćcie mnie! Ja tam wejść muszę.

KAPITAN (zwraca się szybko ku wejściu): Wer da?

ANNA (wchodzi z zasłoniętą twarzą): Nie pytaj, jeno wpuść i sam się stąd oddal na chwilę!

KAPITAN: Um Gottes Willen! Nie wolno! Das ist streng verboten!

ANNA (wciska mu w dłoń brzęczącą kieskę): Odstąp!

KAPITAN (zmiękł, waży kieskę): Ksiądz przyjdzie...

ANNA (oddala go gestem): Nie będę tu długo.

KAPITAN (wychodzi).

ANNA (zbliża się do ks. Mikołaja, odsłaniając twarz): Książę mój!

KS. MIKOŁAJ (zdumiony): Anna!

ANNA (przyklęka u jego kolan ze szlochem): To ja was tu wtrąciłam... ja wiodłam was do zguby...

KS. MIKOŁAJ (zakrztusił się sucho): Ty — wiedziałaś?

ANNA: Och! Gdybych wiedziała! — Wszystko, wszystko powiem... Lecz wam pragnienie gardziel pali! Od wczoraj bez kropli! Boże! — Przyniosłach wam trochę wina. Przełknijcie chociaż to... (z fałdów sukni wyciąga mały gąsiorek i kubek).

KS. MIKOŁAJ (wyrwał jej z ręki gąsiorek): O, daj! (przykłada szyjkę do ust).

ANNA: Mam kubek!

KS. MIKOŁAJ: Zaraz. (pije wprost z gąsiorka). Musiałech pierwszy łyk... Nie mogłech dłużej... (oddaje gąsiorek Annie).

ANNA (nalewa do kubka): Z kubka lepiej będzie... (podaje mu).

KS. MIKOŁAJ (wychylił kubek): Jeszcze!

ANNA (nalewa powtórnie): To już wszystko! Więcej-ech nie mogła. Byliby mi zabrali.

KS. MIKOŁAJ: Niech ci Bóg da zdrowie! (wychylił drugi raz).

ANNA: Och, miłościwy panie! Jam was namówiła do Nysy! Przeze mnie to wszystko się stało. Ślepa-ch była, nie wiedziałach, co czynię! Życie i duszę bych dała, by czas ten mógł się wrócić.

KS. MIKOŁAJ: Mów, Anno, jakoś przyrzekła — wszystko!

ANNA: Chcę tu oskarżyć się sama. Księżna legnicka nie winna! Ją omamiono jak i mnie. Bischofsheim uknuł ten diabelski spisek u księcia-biskupa we Wrocławiu. Gdy wrócił do Legnicy, przywiózł wieść, iż wasza miłość na zrękowiny do Krakowa się wybiera i fraucymeru dla przyszłej pani na Opolu pilnie szuka. Łatwo też nakłonił księżnę, co sama na Wawelu zrodzona i z Jagiełłowej krwie się wiedzie, by co przedniejsze dworki swoje wam do Opola przysłała.

KS. MIKOŁAJ: A tobie Bischofsheim powiedział prawdę?

ANNA: Nic a nic. Dopiero, gdychmy we trzy z Ofką i Krystą ruszyły z nim w drogę, do Wrocławia wstąpić nam kazał, by się księciu biskupowi o błogosławieństwo pokłonić.

KS. Mikołaj: Lepiej było pokłonić się diabłu!

ANNA: Książę-biskup przyjął nas łaskawie i z każdą na osobności pogadał. Mnie wspomniał męża-nieboszczyka, któren na polowaniu u księcia raciborskiego z kuszy był postrzelon. Drzewiej słyszała, iż to był przypadek, a on teraz prawi, iż to polscy, króla Olbrachta rycerze z zasadzki go przeszyli, jako że Andrzej von Oppersdorf cesarskim grafem był i niemieckiej używał mowy.

KS. MIKOŁAJ: Biskup — a pomstę w tobie budził.

ANNA: Rzekł mi tedy, iże tych Olbrachtowych rycerzy wy tu na Śląsko skludzacie, by cesarskie i króla czeskiego prawo podeptać. Iże zatem do zrękowin w Krakowie dopuścić nam nie lza i przymierze wasze z królem polskim zerwane być musi.

KS. MIKOŁAJ: To łotr! Zamiaru zrękowin wprzód jako żywo nie miałech, póki on sam mi takowej myśli nie podsunął. Po cóście tedy na dwór opolski przybyły?

ANNA: Bo mi książę-biskup przykazał, bych was, panie, rozmiłowała w sobie.

KS. MIKOŁAJ (wzburzony): On?

ANNA: I zrękowiny wam ze mną wyprawić obiecał, jeśli jeno was, panie, przywiodę z sobą do Nysy.

KS. MIKOŁAJ (gwałtownie): I tyś — kłamała miłość?

ANNA: Myślałach, iż skłamię, pókich was nie ujrzała, książę! — Alić potem, gdyście serce we mnie zbudzili, przyszło na mnie miłowanie, jakiego zwalczyć już nie miałach siły — i łgać dalej nie trza mi było.

KS. MIKOŁAJ (przygarnia ją i wspiera głowę na jej piersiach): O Anno! Anno!

ANNA: Grzech mój był, panie, iżech wam uległa, a nie śmiałach rzec, iż zrękowiny w Nysie, które obiecał mi biskup, szczytem szczęścia mi się zdały.

KS. MIKOŁAJ: Księżną-li chciałaś ostać?

ANNA: Nie, panie! Jeno niewiastą waszą, białką ślubną.

KS. MIKOŁAJ: Anno! Nie mam na sobie nic, co by ostało mi z księcia. Z szat mnie nawet odarli, aż jakiś szlachcic z litości okrył mnie swoją lisiurą. Nędzarz jestem, rzucony w proch. Grozi mi śmierć z ręki kata!

ANNA: Oddal myśli te, książę! Pójdę na rynek przed sąd... padnę na kolana i żebrać będę, by dali mi głos! Ja zdradzę, kto jest winien — i was obronię, książę... Może wtedy przebaczy mi Bóg i wy przebaczycie, panie!

KS. MIKOŁAJ: Czekaj, Anno! Coś mi przychodzi do głowy! Nie będą cię słuchać jako miłośnicy, aliści wysłuchać winni jako białko poślubioną. Zaraz tu przyjdzie ksiądz słuchać spowiedzie. Niech nam od razu da ślub!

ANNA: Można-li bez zapowiedzi?

KS. MIKOŁAJ: W obliczu śmierci można — i bez biskupiej dyspenzy. Miałabyś po temu wolę?

(Dokończenie na stronie 2)

EDWARD KOZIKOWSKI

Plac Unii Lubelskiej

Ilekroć do twych ruin powracam, stolico,
otrząsając z sandałów schodzonych pył wiejski,
tyle razy myśl strzela we mnie błyskawicą,
by czemprędzej zobaczyć Plac Unii Lubelskiej.

Tutaj nie znać zniszczenia: wojna przeszła obok, —
budynki stoją wokół, jak za dawnych czasów,
i nikomu się nie śni, by tęsknić za tobą,
i gubić się w wspomnieniach, jak nocą wśród lasu.

Trwasz na przekór logice zdarzeń i wypadków,
i dobrze jest do siebie przybiegnąć od zwalisk,
aby żalom dać ujście i skargą przed matką
wybuchnąć, taką skargą, co przekleństwem pali.

W twych objęciach czas cofa się o lat dziesiątki,
i serce już nie boli na myśl o Warszawie,
po której nikłe jeno zostały pamiątki,
jak w dumce ukraińskiej o przebrzmiałej sławie.

Jesteś dla mnie przystanią, o placu, gdzie chętnie
zawijam, jak do portu, po dalekich jazdach,
aby rozpamiętywać w gromadzonych skrzętnie
wspomnieniach, czas miniony i czytać, jak w gwiazdach.

Masywne kamienice, jak okręty w dokach
stoją, gotowe ruszyć w dal na dany sygnał,
i trwają ustawione rzędem, jak na pokaz,
póki na pełne morze ich wiatr stąd nie wygna.

Zostańcie tu na zawsze i złudzeń nie płoszcie
tym, co wojnę przeżyli i tutaj przychodzą,
jak na groblę portową, by cieniem przeszłości
wyblakłe sycić oczy i żyć, nie odchodząc.

Trwajcie, jak piramidy na egipskich piaskach,
aby nawet polegli, gdy z mogiły wstaną,
mogli poznać w świetności niegasnących blaskach
miasto, w którym na wieczne czasy pozostaną.

Co robią Niemcy?

Niedzielna lektura berlińskiego tygodnika — Pokłosie kongresowe — Dziewięć stron Polski

Obecność delegatów niemieckich na Kongresie we Wrocławiu przyniosła piękny rezultat w postaci specjalnego polskiego numeru berlińskiego tygodnika, poświęconego kulturze, polityce i sztuce „Sonntag". Pismo to należy do najżywiej redagowanych tygodników niemieckich, a „Sonntagowe" polonica są, jak dotąd, dość liczne i niemało zrobiły dla zapoznania czytelnika niemieckiego ze współczesnym naszym życiem kulturalnym. Wspomniany numer z datą na 19 września, to właściwie pokłosie kongresowe, ale że uczestnictwo Niemców w Kongresie było także ich aktem politycznym wobec Polski, temat Polska zajmuje w numerze naczelne, główne miejsce.

Oto zaraz na pierwszej stronie obok artykułu Bechera widzimy dużą reprodukcję plakatu kongresowego z wyszczerbioną kolumną, pod tym zaś zwięzły wybór myśli i oświadczeń, jakie padły na Kongresie. Strona druga, prócz tekstu podziękowania delegacji niemieckiej za gościnność, złożonego na ręce generalnego sekretarza Kongresu — Jerzego Borejszy („Wir gehen in unser Land mit starken Eindrücken von der Aufbauarbeit der polnischen Volksdemokratie zurück), zawiera kolumnę, zatytułowaną „Von beiden Seiten gesehen". Dzieli się ona na dwie części, na artykuł „Polacy w Niemczech", informujący o berlińskim pobycie polskiej delegacji uczestników walk o wolność, oraz na część „Niemcy w Polsce", zawierającą cztery głosy uczestników Kongresu o Polsce. Szczególnie wymowna jest wypowiedź znanego malarza Maxa Pechsteina. Pechstein, który odwiedził Polskę już 17 lat temu, widzi w kraju naszym przede wszystkim — pokój. Wszędzie — czytamy u niego — czuje się imponujący charakter swobodnego, podążającego naprzód tworzenia. Niekiedy życzyłem sobie, by i Niemcy mieli coś z tego elanu i z tych możliwości. Pechsteinowi podoba się nasze malarstwo [„znajdują się (malarze) na właściwej drodze"], a zdumiewa go oryginalność grafiki, która, jego zdaniem, wiele by Niemców nauczyć mogła. Cieszy go gościnność, której doznał i w tej radości wypowiada słowa, które oby były dobrym znakiem do porozumienia dwóch sąsiednich narodów. „Mamy sobie wiele do powiedzenia: będzie dobre żniwo".

Jürgena Kuczyńskiego, znanego ekonomistę i historyka ruchów robotniczych w Niemczech, zainteresowały nasze problemy gospodarcze. Dostrzega dostatek na wsi i zdumiewająco bogaty dopływ artykułów przemysłowych na wieś. Naszą rzeczywistość kawiarnianą — bo i na to zwrócił uwagę w Warszawie — uważa jako wspaniały sen z lepszego świata, który nagle stał się rzeczywistością. Takie życie daje oczywiście pewne pojęcie o standarcie życia niemieckiego po wojnie. Ogląda witryny księgarskie i zauważa wielką ilość przekładów z francuskiej literatury pięknej. Poza Marxem i Engelsem, jak pisze, nie zauważył żadnych przekładów z literatury niemieckiej. Toteż wyraża zdziwienie, że literatura niemiecka rychło znalazła się na drogach wymiany z literaturą polską. Trzeci głos jest głosem dramaturga i prozaika Friedricha Wolfa. I on był już w Polsce, po raz pierwszy jako żołnierz podczas pierwszej wojny światowej, po raz drugi zaś w r. 1945, w drodze z Moskwy, gdzie przebywał ostatnio na emigracji, do Berlina. Polacy — pisze — to dziś naród w wielkim zrywie. — Co prawda, nieodpowiedzialne przemówienia takich politycznych głupców i prowokatorów jak prof. dra Ernsta Reutera (SPD), nawołujące znowu w obliczu poreichstagowskich gruzów do wyprawy na wschód, a potem chyba do jeszcze jednego, ostatecznego „totalnego zwycięstwa", takie przemówienia z „wielkich lat" sąsiedzi nasi przyjmować mogą jedynie z największą nieufnością. — Czwarty głos, to głos teatrologa Ernsta Legała. Poza uwagami o teatrach polskich i o kłopotach z narybkiem aktorskim, o które w Niemczech także nie trudno, tłumaczy, dlaczego, biorąc udział w kongresie wrocławskim (pisze nie Breslau jak wszyscy, lecz Wrocław), nie uważa się za zdrajcę narodu, za jakich uznała delegatów niemieckich prasa zachodnich Niemiec.

„Nie mogę widzieć zdrady kraju w fakcie, że usiadłem przy wspólnym stole z ludźmi, którzy są dobrej woli!

Trzecia strona „Sonntagu" poświęcona jest Witowi Stwoszowi. Potężnym reprodukcjom krakowskiego ołtarza towarzyszy artykuł, z którego wynika, że przypomnienie Wita Stwosza w takim numerze pisma jest świadomym pociągnięciem redakcji. Po prostu, jeśli słusznie odczytujemy intencje redakcji, Wit Stwosz to symbol związków niemiecko-polskich lub nawet przyjaźni niemiecko-polskiej w dziedzinie sztuki. „....ciągnie do innego kraju, by zasłużyć tam sobie na artystyczne i obywatelskie prawa do tego stopnia, że pomimo niemieckiego pochodzenia, wszedł w świadomość narodu polskiego, jako jemu przynależny". Sztuka Wita Stwosza to, zdaniem artykułu, pomost między obu narodami.

Na stronie czwartej, prócz marginesu flag państw, biorących udział w kongresie, z podaniem ilości delegatów, spotykamy ważki artykuł o trzech miastach i o jednym, które było... sygnowany -ch. Rzecz mówi o Wrocławiu, Warszawie, Krakowie i o Oświęcimiu-Brzezinkach. Impresje wrocławskie obchodzą nas najwięcej.. Obraz ruin kojarzy się autorowi z ostatnimi dniami władania hitlerowskiego gauleitera. O wystawie pisze, że jest to pokaz pracy polskiej na ziemiach zachodnich. „Spojrzenie na historię ostatnich 800 lat pomyślane jest jako moralne usprawiedliwienie". Impresje wrocławskie kończą się trzeźwym stwierdzeniem, które warto tu zanotować: Wrocław jest dziś — ten sąd wynika ze zobowiązań wobec realii — polskim miastem.

Na tej samej oraz na piątej stronie widzimy felieton Gerharta Pohla pt. „Spotkania i rozmowy". Pohl, przebywający ostatnio dłuższy czas w Polsce, wybitny pisarz młodego pokolenia, pochodzący z rodziny śląskiej, której część czuje po polsku, przygotowuje obszerną antologię współczesnej polskiej nowelistyki. Felieton jego wykazuje dużą znajomość spraw polskich, choć widać, że za bardzo polega na swych polskich informatorach. Współpracując jeszcze przed wojną w „Wiadomościach Literackich", odnowił te kontakty po wojnie, drukując już w polskich tygodnikach literackich. Notuje skrzętnie wszystkie germanica w kongresowej prasie polskiej, nie zapominając również i o „Odrze", którą, jak sam wyznał we Wrocławiu, czyta gorliwie, zaczynając lekturę n. b. od niniejszej skromnej rubryczki. Z artykułu dowiadujemy się m. in., że wkrótce berliński „Aufbau" przyniesie przekład opowiadania Andrzejewskiego „Przed sądem". Ze spotkań z młodymi pisarzami polskimi najlepsze i najmocniejsze wrażenia dali mu Witold Wirpsza i Tadeusz Borowski. Szerzej mówi o Andrzejewskim, Iwaszkiewiczu, Parandowskim, Ryszardzie Matuszewskim, poza tym wspomina Adolfa Rudnickiego, Dygata, Brezę, Jana Koprowskiego i Stan. Wygodzkiego. Galeria to mocno zróżniczkowana, a braki w niej ogromne. Czy przypadkiem nie zawiniła tu informacja polska?

O nowym obliczu b. Prus Wschodnich mówi na stronie 5 przedruk z „Times", które dały wyjątkowo obiektywny i nacechowany sympatią nowy obraz Pomorza Mazowieckiego. Strony 6 i 7 zawierają na marginesach karykatury uczestników kongresu (z polskich Leon Schiller i Jerzy Zawieyski), przemówienia Abuscha we Wrocławiu, fragmenty przemówienia Marcela Prenanta o kulturze i badaniach oraz skrupulatny dziennik kongresowy Hansa Mayera, najpełniejszy i najdokładniejszy jak dotąd w prasie obraz czynności kongresowych. Prasa polska o niemieckim uczestnictwie kongresowym, oto tytuł montażu na str. 8. Dziewiątą stronę zajmuje „Rozmowa z Sokratesem" Tadeusza Florka, fragment wyróżnionego na ostatniej olimpiadzie „Dialogu olimpijskiego". Stronę zdobi ponadto reprodukcja znanego już powszechnie rysunku Picassa „Kobieta polska", wykonanego dla gazety kongresowej. Na tym polska treść numeru nie kończy się, bo znajdują się tu jeszcze anegdoty polskie o Chopinie, Sienkiewiczu, Paderewskim i Curie-Skłodowskiej. Ale i w tym wypadku nie zaniechano pedagogii, obok nazwisk bowiem pojawiają się daty biograficzne.

Numer „Sonntagu" tak zredagowany jest dowodem politycznej dojrzałości ludzi, którzy reprezentowali Niemcy na kongresie. Zdaje się, że stworzą oni bazę dla przyszłego porozumienia. Zmontowanie tak bogatego numeru bezpośrednio po powrocie do kraju delegatów przynosi zaszczyt redakcji.

WISZ.



Miss Europa 1948

JAN PAWEŁ GAWLIK

Hierarchia grozy

W dalszym ciągu dyskusji oświęcimskiej na łamach naszego pisma drukujemy uwagi, polemizujące częściowo ze stanowiskiem Zofii Żoreckiej w artykule „Wiedza oświęcimska". Odra, nr. 35.



Scena obozowa z niemieckiego filmu „Długa droga"

I.

OŚWIĘCIM

W umyśle kadego z nas nazwa ta wywołuje różne skojarzenia wspomnień, sądów i odruchów emocjonalnych w zależności od stopnia przemyślenia zagadnienia i zainteresowania. Nawet w umysłach byłych więźniów nazwa obozu nie wywołuje jednolitych wrażeń. Są one uwarunkowane osobistymi przeżyciami, stopniem wrażliwości i percepcji zjawisk. Jedno wydaje się być pewnym: nie ma człowieka, który mógłby powiedzieć, że problem Oświęcimia przemyślał do dna, poznał wszystkie jego płaszczyzny.

Oświęcim to nie tylko zestawienie konkretnych faktów, to także cały szereg przyczyn, które doprowadziły do jego powstania. Oświęcim nie jest tylko rezultatem ustroju totalnego i patologii społeczno - politycznej reżimu hitlerowskiego, jest on także jego nieuchronnym następstwem, konsekwencją zamarcia ważnej struny w ludzkiej duszy, struny która decyduje o człowieczeństwie. Oświęcim to wielki, teraz narosły do skali niespotykanych dotychczas rozmiarów, odwieczny problem zła. Im wyżej wznosić się będzie umysł myśliciela analizującego problematykę obozów koncentracyjnych, tym więcej będzie płaszczyzn, ujęć i wydźwięków tego giganta zła.

Sadyzm — patologia totalizmu — wartość rasizmu — otępienie ofiar — trudna sytuacja samoobrony — to wszystko jest jasne. Ale gdy dochodzi do prób robienia syntezy, do zamknięcia w jedną całość, coś pęka. Wypróbowany sposób myślenia zawodzi. Cały aparat intelektualny jest za mały, by uporać się mógł z ogromem faktów. Przywołuję na pomoc emocję, uczucie i fantazję. Wgryzam się w całą poobozową literaturę. I już zdawałoby się problem jest opanowany ale wtedy pracowicie skonstruowany gmach zrozumienia rozbija się o cyfrę.

Statystyki podają ilość poległych w Oświęcimiu: 6.000.000! Misternie wypracowana próba ujęcia całości rozpada się.

Kto wie, co to znaczy sześć milionów ludzi zakatowanych na przestrzeni kilkunastu klm kwadratowych w ciągu 4 lat?

Sześć milionów ludzi to nie sześć milionów pni drzewa. To tyle światów, niepowtarzalnych bytów, z których każdy jest czującą, myślącą świadomością. Sześć milionów ludzi to nieprzerwana kolumna marszowa, ustawiona czwórkami, długa na 1.500 km czyli równa odległości między Warszawą a Marsylią.

Myśląc o Oświęcimiu mamy przed oczyma suchą, bez wyrazu abstrakcję cyfr, ważniutki odcinek naszej osobistej tragedii i bólu lub parę emocjonalnych koncepcji oświęcimskiej rzeczywistości, zwykle bladych i niedorastających tamtej rzeczywistości. Jakie wstrząsające wrażenie wywołuje na zwiedzających widok okularów lub pędzli do golenia w muzeum na terenie obozu. Wtedy abstrakcja 6.000.000 nieśmiało nabiera kolorytu życia. A to co znajduje się teraz w muzeum jest tylko znikomym szczątkiem całości, która w miarę napływania materiału z niewyczerpanego źródła, jakim był obóz wywożona była systematycznie do Niemiec.

Umysł szarego, przeciętnego człowieka nie potrafi ogarnąć wielkości sześciu milionów. Jeśli pracuje fantazja, to obraz jej jest zawsze grubym odchyleniem od rzeczywistości. Na spekulacji matematycznej oparte chłodne przyjmowanie wielkości zamkniętej w cyfrze jest zawsze obarczone fatalnym w tym wypadku wpływem abstrakcji. Ludzie ginący w Oświęcimiu byli złożeni z duszy, zdolnej do walki, tęsknoty i cierpienia, z woli życia, z chęci przetrwania. Byli to ojcowie, matki, dzieci, rodziny brutalnie wyrwane z normalnych, często cieplarnianych warunków rodzinnego domu. Dopiero teraz po śmierci, odbieramy im ich żywe człowieczeństwo, wtłaczając w suchy znak cyfry.

Dużo już pisano o Oświęcimiu. Od impresyjnych poezji przez prozę i publicystykę do suchych sprawozdań naukowca, historyka i prawnika. Niejeden wybitny umysł wypowiadał się na temat tego zasadniczego zagadnienia. Dyskusja oświęcimska, rozgorzała po konkretyzacji projektu muzeum na terenie obozu, zdawałoby się ucichła już w nawale nowych zagadnień i problemów. Jednak niezupełnie. Problem Oświęcimia nie został definitywnie rozstrzygnięty. Wprawdzie istnieje i rozwija się muzeum na terenach dawnego obozu, ale niestety nie oddaje ono żywej grozy niedawnej przeszłości. Doskonały artykuł opublikował o tym w 179 numerze „Przekroju" Kazimierz Koźniewski. Podkreślił wszystkie wątpliwości i zastrzeżenia, jakie nasuwa obecne stadium rozwoju muzeum. Także niektóre wypowiedzi publicystów związane z tym zagadnieniem zmuszają do podkreślenia różnicy zdań. Kontrowersje te dotyczą częstokroć tylko poszczególnych tez wysuwanych przez wypowiadających się pisarzy.

Może 6.000.000 małych kilkunastocentymetrowych krzyżyków — miniaturka cmentarza — postawionych na jednym olbrzymim z konieczności polu potrafi w części zobrazować istotną treść napisanej i niestety prawdziwej cyfry.

Sześć milionów... Ułatwienie zrozumienia tej abstrakcji oto jedno z głównych zadań oświęcimskiego muzeum.

II.

OŚWIĘCIM

Niedawno p. Zofia Żorecka poruszyła na łamach „Odry" (nr. 35 z 29 sierpnia br) ten trudny i niewdzięczny temat. Artykuł p. Żoreckiej „Wiedza oświęcimska" jest zgrabną syntezą reportażu i wypowiedzi publicystycznej, o głębokim wydźwięku problemowym. Niektóre tezy autorki, stawiane z pasją, wyrażające wolę najlepszego rozwiązania zagadnienia, wzbudzają jednak pewne zastrzeżenia. Problem jest ważny. W poczuciu odpowiedzialności musimy dyskutować go aż do wszechstronnego naświetlenia.

Czytamy w wymienionym artykule: „Naukowe traktowanie zagadnienia muzeum wymaga rzeczowości, chłodu intelektualnego, wyeliminowania momentu uczuciowego, a to znów koliduje z postulatami zacierania pamięci o tym, co się działo w obozie...".

Postulat zacierania w pamięci tego co się działo w obozie... Poprzednio prawie dwie szpalty poświęca autorka na motywację tej tezy. Czy można ją przyjąć?

Oto argumenty p. Żoreckiej: zdrowie psychiczne społeczeństwa — zjawisko zacierania wrażliwości przy dużych i częstych bodźcach.

Zdrowie psychiczne steranego wojną społeczeństwa istotnie pozostawia dużo do życzenia. Ale odpowiedzialność ludzi kształtujących pamięć o Oświęcimiu nie ogranicza się tylko do naszego społeczeństwa. Czym jest Oświęcim? Czy jest tylko niezależnym od człowieka fatum, które przyszło nie wiadomo skąd na ziemię dobrych ludzi?

Oświęcim jest dziełem człowieka. Prawda, że człowieka zdziczałego ale zawsze spadkobiercy świetnej tradycji Goethego i Beethovena. Jest tylko wycinkiem rzeczywistości czasów współczesnych. Oświęcim napewno nie był pozbawiony uwarunkowania społecznego. Jakie potężne siły zła i patologii społecznej sprzęgły się po to, aby w latach wojny rozegrać rzeczywistość oświęcimskiego obozu? Czy militarna klęska hitleryzmu zapobiegła możliwości renesansu oświęcimskich tradycji?

Nie łudźmy się. Ogólnej przyczyny Oświęcimia: głębokiego schorzenia duszy współczesnego człowieka, rabowanego systematycznie z jego wolności, bytującego między totalizmem a codziennym zmaganiem się o życie — nie uleczy żadna, formalnie wygrana wojna. W Hamburgu podczas wyświetlania dokumentarnego filmu z Oświęcimia publiczność na sali gwizdała i wyła: mało! mało!. Podczas wojny własowcy i nawet obywatele zachodnich państw dawali dowody niemniejszego niż Niemcy okrucieństwa. Oświęcim nie był uzależniony od istnienia Reichsministra Himmlera. Był natomiast uzależniony od istnienia III Rzeszy, a jej istnienie od sytuacji ogólnoświatowej w pierwszej połowie XX wieku.

Oświęcim to nie tylko zagadnienie polskie czy niemieckie, to nawet nie problem ogólnoświatowy, ale to aktualny bez względu na czas problem ogólnoludzki. Prawda obozów koncentracyjnych jest znakiem choroby współczesnego świata.

Czy wolno nam kierować się obawą o zdrowie psychiczne społeczeństwa?

Jest z nim źle. Znamy szeroko i opłakane i tragiczne pozostałości wojny. Gołubiew wyszperał bardzo aktualny problem „zarażenia śmiercią". Dziesiątki takich zagadnień pozostawiły nam ubiegłe lata. Pamięć całej brutalnej prawdy Oświęcimia napewno jednak nie będzie przyczyną stałej „histerii śmierci". Pamięć o wojennych przejściach powoli zniknie. Następne pokolenie będzie już wolne od psychopatologicznych pozostałości wojny, a wtedy problem Oświęcimia winien żyć nadal, bo przekracza on przyczyny i skutki ostatniej wojny, światowej zawieruchy. Zło aktualne było nie tylko w minionym ustroju III Rzeszy.

Argument drugi, który p. Z. Żorecka użyła na poparcie tezy o potrzebie zapomnienia, jest argumentem dość dziwnym. Zjawisko zacierania wrażliwości przy dużych i częstych bodźcach niewątpliwie istnieje. Jednak ogranicza się ono tylko do tej strefy wrażeń, które są skutkiem tego bodźca. Osłabienie wrażliwości nie grozi całej ludzkiej percepcji zjawisk. Potrzeba zapomnienia nie wynika z tego argumentu. Zgadzając się na oczywisty fakt obojętności dzisiejszego człowieka na całą problematykę wojennych zbrodni, nie możemy na tej podstawie postulować zapomnienia obozowej rzeczywistości. Zjawisko otępienia wrażliwości — ubożące ludzką osobowość — winniśmy traktować jako zło konieczne i odpowiednio mu przeciwdziałać, tylko nie drogą najmniejszego oporu: zapomnieniem. Oto jeszcze jedno zadanie stojące przed oświęcimskim muzeum.

Czy zbyt prędko i łatwo nie przechodzimy w wirze spraw pulsującego życia do porządku dziennego nad problemem obozów koncentracyjnych? Czy aby użyty przez autorkę argument nie jest ucieczką od potrzeby ustawicznego borykania się z tym problemem?

(Dokończenie na str. 3)

Ostatnie chwile księcia Mikołaja

(Dokończenie ze strony 1)

ANNA: O książę! panie mój!

KS. MIKOŁAJ (przygarnia ją i całuje): Anno... słuchaj! Gdybyś ze mną poczęła syna, niechby ślubny był... Bo pomyśl... to krew Piastów opolskich — krew rodu, co ze mną i z bratem ma już zejść do grobu... Anno!

(wchodzi kapitan trabantów)

ANNA (wyrywa się z objęć księcia, spłoszona): Ktoś idzie!

KAPITAN (nagląco do Anny): Wyjdźcie stąd! Wyjdźcie, pani! Ksiądz przybył — (gest lekceważenia) do niego!

KS. MIKOŁAJ: Niech przyjdzie! Czekamy na niego — oboje!

KAPITAN: Um Gottes Willen! Das ist reiner Unsinn!

ANNA: Nie twoja to rzecz, kapitanie!

KAPITAN: Ja głową odpowiadam.

KS. MIKOŁAJ: Cóż warta twoja głowa!

(wchodzi ks. Henryk z Fulsztyna w komży i stule, z krzyżem w ręku — za nim jeden z trambantów wnosi zydel.)

KAPITAN (do wchodzącego): Eine Dame ist hier eingetroffen! Aber ich bin dafür nicht schuldig, Hochwürden!

HENRYK z FULSZTYNA (oddala gestem kapitana, który wzruszywszy ramionami wychodzi wraz z trabantem): Niech będzie Imię Pańskie pochwalone!

KS. MIKOŁAJ i ANNA: Na wieki wieków. Amen.

HENRYK: Ja! — Sam-ech się ofiarował jego przewielebności, by was, książę, zaopatrzyć na wieczność. Musicie tedy oddalić od siebie tę białkę, z którą w grzechu nieczystym żyjecie.

KS. MIKOŁAJ: Jeśli na śmierć osądzić mnie chcecie, nie odmawiajcie ostatniej prośbie mojej. Dajcie mnie i urodzonej Annie ze Strzegomia, bywszej grabini Oppersdorf, ślub i zwiążcie ręce nasze stułą. Niech grzech nasz zmyje sakrament! W obliczu śmierci nie odmawia się tego i łotrom.

HENRYK: Grzech zmywa jeno pokuta, nie igry z świętych obrządków. Bóg poddał ród wasz próbie, której trza wam wydzierżyć do końca. Ród musi zejść do grobu bez prawnych, ślubnych dziedziców. Przeto nie godzi się wam, panie, nawet w godzinę śmierci węzłem małżeńskim wiązać.

KS. MIKOŁAJ (gorzko): Zaiste, wiernym sługą biskupa jesteście, książe z Fulsztyna!

HENRYK: Nie biskupowi służę, jeno Bogu, o czym was, panie, przekonam.

ANNA (z wybuchem): Niech-że mnie tedy razem z wami, książę, na rusztowanie powiodą! Krew nasza spłynie razem, gdy kat da nam ślub.

KS. MIKOŁAJ: O Anno! białko moja!

(bierze ją w objęcia i całuje)

ANNA: Książę! panie mój!

KS. MIKOŁAJ: Bóg będzie dla nas łaskawszy, niż jego na ziemi zastępcy.

ANNA (wyrywa się z objęć): Pójdę już! pójdę na rynek i skryję się w miejski tłum, co czeka widowiska. Przez tłum docisnę się do rusztowania, tam, gdzie się zbierze sąd. Wtedy ujrzycie, książę... Nikt tam krzyku mego nie zgłuszy! Usłyszy go całe miasto! Usłyszy biskup Roth...

(odchodzi, mijając Henryka)

KS. MIKOŁAJ: Anno!

HENRYK (jakby się ocknął po niewczasie): Stój, białko, zaczekaj! (po sekundzie, innym tonem) Poszła! Może i lepiej... (zbliża się do Ks. Mikołaja): Przynoszę wam, książę, pociechę...

KS. MIKOŁAJ: Już-eście mnie nią nakarmili! Jeszcze ją czuję pod grdyką. Po co was tu przysłali?

HENRYK: Mylicie się, panie! Przyszedłem sam, z dobrowoli. Jam za pokutą był, nie za sądem. Kiedych usłyszał, że sąd wam gotują, sam-ech uprosił, by was do wieczności sposobić — i wolę waszą ostatnią w testamencie spisać, czego by nikt inszy, przez księcia biskupa wyznaczon, jako żywo nie uczynił.

KS. MIKOŁAJ (z wybuchem): Skądże to tyle łaski?

HENRYK: Boch przejrzał myśli książąt. Zgubę waszą postanowili w przód, nim-eście rękę na nich podnieśli. Nie jest w mocy mojej zniweczyć ich zamiary, mogę jednak wolę waszą na pergaminie spisać i świętą przysięgą potwierdzić.

KS. MIKOŁAJ: Macie pergamin tu?

HENRYK: Za ciemny to loch i za ciasny, by w nim się z pisaniem rozkładać. Ja pamięć dobrą mam i wyszedłszy stąd, dziś jeszcze każde słowo wasze zapiszę.

KS. MIKOŁAJ: Słuchajcie tedy, co rzeknę!

HENRYK: Wprzód grzechy swoje wyznajcie i wzbudźcie za nie żal! Odmówiliście w Opolu — nie odmawiajcie teraz!

(usiadł na zydlu i błogosławi ks. Mikołaja, który obok ukląkł)

In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti.

KS. MIKOŁAJ (żegnając się): Amen.,

HENRYK: Wejrzyj, synu, na wszystkie żywota twego przewiny i zdaj z nich rachunek Panu!

KS. MIKOŁAJ: Uwierzyć mi niełacno, iże żywot cały jest już poza mną, tak krótki mi się wyda. Na oćcowym dworze siedmioro nas było: trzech braci, siostry cztery. Jam z braci był najmłodszy i do klasztoru, na służbę bożą przeznaczon. Atolich nie miał książęgo przyrodzenia i nie mniszy kaptur, jeno pas rycerski i zbroja wżdy mi się śniły i na książęcym stolcu zasiadanie.

HENRYK: Zaliż pokory nie stało ci, synu?

KS. MIKOŁAJ: Jam jeden z braci moich do władania krzepę miał i hardość i dumę. Krew się wzburzyła we mnie przeciwko oćcowej woli. Zaliż nie dość było, iż siostry dwie poszły posłuszne i mniszkami w klasztorze ostały? Do dziewek tedych uciekł opolskich, by czystość z nimi stracić.

HENRYK: Krzywdziłeś tedy niewinne i zgorszenie siał!

KS. MIKOŁAJ: Nie! krzywdy takowej nie pomnę. Łzę każdą dukatem-ech otarł, a potem, kiedy trza było, i wiana-ech dziewce nie skąpił. Alić kiedy po śmierci Ludwika, najstarszego brata, książę-ojciec Jana dziedzicem wyznaczył, póty-ch tego nie uznał i póty-ch oćcu i bratu pomstą groził, aż na śmiertelnym łożu obydwu nam stolec przekazał, księstwa na dwoje nie dzieląc.

HENRYK: Grzeszna była ta żądza i woli boskiej przeciwna.

KS. MIKOŁAJ: Dwadzieścia sześć roków mi było i świat stał wonczas przede mną. Janowi ech modlić się kazał za nas dwóch. Niech by kościoły i klasztory fundował, o łaskę boską się starał, byle jeno w rządach pierwszeństwa mi ustąpił.

HENRYK: I uczynił to z dobrowoli?

KS. MIKOŁAJ: Zrazu się ze mną wadził, alić więzienie węgierskie, gdzie nas Korwinów namiestnik głodem do hołdu niewolił, złamało jego opór. Gdychmy się złotem znów wykupili na wolność, stał się już miętki jak wosk.

HENRYK: Nie masz-li — krom tych nad dziewkami — inszych gwałtów na sumieniu?

KS. MIKOŁAJ: Juści, żech prędki był w gniewie. Żech rycerzy lochem karał, a chłopów w gębę bił. Alić, gdy przeszła złość, sam-ech nagradzał szkody.

HENRYK: Nie ściga cię żaden cień, anić się w snach nie zjawia?

KS. MIKOŁAJ: Nie! jako żywo!

HENRYK: A paź, któremu w oko wpadła jedna z twoich dziewek? Zaliś w gniewie nie wykłuł mu ślepiów i śmierci okrutnej nie zadał?

KS. MIKOŁAJ (wzburzony): Na Boga! Kto wam rzekł?

HENRYK: Głośne to było we Wrocławiu.

KS. MIKOŁAJ: To biskupowi Niemce zbójem mnie głoszą i katem. Diabła by we mnie naleźli, iż przy mowie oćców stoję! Paź żywie w Opolu i zdrów, jeno w loszku przesiedział się trocha.

HENRYK: Prawda-li to? Spowiedź jest jako przysięga.

KS. MIKOŁAJ: Na prochy oćców moich! Przed Bogiem przecie stanę. Nigdy się z polskiej krwie okrutnik nie ulęże! I nigdy pomsty gad w serca Piasta się nie wgryzie.

HENRYK: Czemuś tedy wczoraj na księcia z Piastów się porwał i na świętą arcypasterza osobę?

KS. MIKOŁAJ (z rosnącą goryczą): Przecz o to pytacie, książe? Zaliście nie rzekli sami, iż zdrada przeciwko mnie była? Chociaż by nawet Pełka nie był chwycon, los mój i tak przesądzono. Książę Kaźko nie Piastem jest, jeno niemieckim odmieńcem — i biskup nie święty a łotr. Miał-żech im do nóg paść i o łaskę króla czeskiego, albo cesarza prosić. Za to, żech słuchał głosu krwie i oćców moich dziedzinę chciał poddać polskiej koronie? Powiedźcież mi, książę, zali biskup tu praw był, czy ja?

HENRYK: Mowa twa, synu, hardą znów jest i świętej spowiedzi niegodna! Czas ugiąć dumny kark!

KS. MIKOŁAJ: Przed Bogiem — czy przed biskupem?

HENRYK (podnosi krzyż): Przed krzyżem bożej Męki!

KS. MIKOŁAJ: Przed krzyżem legnę w proch! (pochyla się ku ziemi)

HENRYK (podpowiadając): Boże, bądź miłościw!

KS. MIKOŁAJ (bijąc się w piersi): Boże, bądź miłościw!

HENRYK: Misereatur tui omnipotens Deus! Ego te absolvo de peccatis tuis in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen. (pobłogosławił klęczącego krzyżem i dał mu go do pocałowania)

Kazimierz Gołba

Pieśń mazowiecka z roku 1800

Na przeciąg lat 12 po trzecim rozbiorze znalazła się Warszawa pod panowaniem pruskim.

Rozpoczęto germanizowanie zajętego kraju. Wprowadzono od razu jako język urzędowy niemczyznę, zapanowało pruskie prawo, miasta utraciły samorząd, różnymi udogodnieniami zachęcano niemieckich chłopów i rzemieślników do osiedlania się na ziemiach polskich, zaprowadzono bardzo surowe przepisy cenzuralne, a rządowe pruskie szkoły ludowe stają się od klasy najniższej środkiem germanizowania.

Z uciskiem narodowym łączy się ucisk ekonomiczny. Ciężary podatkowe stają się wprost nie do zniesienia. Zachowana na wsi pańszczyzna pod najróżniejszymi postaciami, opłaty fiskalne rodzą powszechną na wsi i w mieście do Niemców nienawiść.

Wyrazem uczuć chłopskich do zaborcy jest pieśń ludowa z owych lat. Okazem tejże jest t. zw. „Pieśń Mazowiecka" z roku 1800. Autor jej jak i miejsce powstania pieśni — nieznani.

Wiersz ten został przepisany ze sztambucha pochodzącego z roku 1810, oznaczonego literami K. O., zaopatrzony był w notatkę: „wiersz ten słyszałem w okolicach Góry Kalwarii deklamowany przez dziada wędrownego". Pomieścił go Karol Sienkiewicz na łamach „Skarbca historii polskiej" (Nr 2 1840 r.), pisma emigracyjnego, pojawiającego się w Paryżu od roku 1839. Artyzmu w nim niewiele, charakterystyczny jednak przez treść i nastrój go przenikający, zasługuje na poznanie.

ADAM GALIŃSKI

★

Ej biedaż nam Mazury,
Jakiej nigdy nie było!
Niemcy nas drą ze skóry,
O czym nam się nie śniło.
Bo któż by się spodziewał,
Kto by się o to starał,
By się Bóg tak rozgniewał,
Że nas Niemcami skarał.
Ni rozmowy, ni sprawy,
Bo cóż z Niemcami za mowa!
Ni z nim żadnej zabawy,
Bo sam siedzi jak sowa.
Tylko dybią na człeka,
Gdyby jastrząb na kury.
Niemiecka to opieka
Odrzeć człeka ze skóry.
Miły Boże! z Warszawy
Co się teraz zrobiło,
Ni tam żadnej zabawy
Ni tych ludzi, co było.
Wszędy Niemca i szwaba
Tylko spotkasz na drodze,
Kędy spojrzysz to bida
A wszędy cię drą srodze.
Dawniej, człowiek, bywało
Gdy do miasta przyjedzie,
To się wszystko sprzedało,
Zawsze z groszem wyjedzie.

Teraz Niemcom płać a płać!
Diabeł nadał tę sprawę;
Ani można ich napchać
Gdyby wory dziurawe.
Boże, pełen litości!
Do Cię prośbę zanosim
Pozbaw-że nas tych gości,
I wysłuchaj nas, prosim!
Bo nas Niemcy nie słyszą,
I żalić się nie dadzą,
Tylko piszą i piszą
I pieniądze gromadzą.
Nie może być, paroby,
Żeby się tak zostało,
W swojej ziemi człek obcy,
A im dobrze się działo.
Wszak przysłowie tak mówi,
Póki tylko świat światem,
Póty Polak Niemcowi
Nie powinien być bratem.
Jeszcze będziem wywijąć,
Krzesać ognia z podkówki,
Jeszcze będziem przepijać
Nasze polskie złotówki.
Wróci nam się Warszawa,
Wróci nam się i Kraków —
Niemiec nie ma tu prawa,
Bo to ziemia Polaków.

Geografia literacka Ziem Odzyskanych

(Dokończenie ze str. 1)

lentem. O Wrocławiu zwykło się już mówić jako o mieście obiecu-



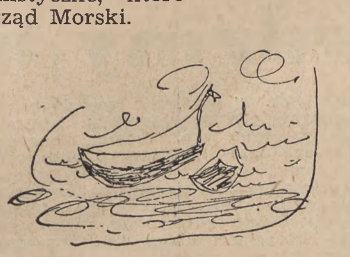
jącej młodzieży literackiej. Jak na środowisko młode i bez literackich tradycji, poza tradycją wydawniczą Kornów i komiwojażerską naszych wielkich pisarzy, grupa młodych jest tu dość liczna i zróżniczkowana, od poezji po krytykę i essay, od młodych katolików po młodych marksistów. Wydaje mi się tylko, że poza opieką Uniwersytetu grupa ta nie korzysta z tak hojnej gdzieindziej opieki Ministerstwa Kultury i Sztuki lub pokrewnych instytucji. Młodzież warszawska czy łódzka jest tu w sytuacji o wiele lepszej.

Wrocław ma jednak pisarzy za mało. O ile nie możemy sobie w tej chwili pozwolić na planowe osiedlanie pisarzy w rozmaitych samotnych punktach Ziem Odzyskanych, jesteśmy w stanie rozładować wielkie skupiska miejskie w centrum kraju. Stosunek do pisarzy na terenie Wrocławia dyktuje prasa codzienna. Jest to stosunek serdeczny i gorliwy. Taką prasę ma chyba jeszcze Kraków. Zapowiedziany przyjazd Jana Kotta dzienniki wrocławskie podały tłustym drukiem w obwódkach. Wrocław jako środowisko kulturalne umie sobie cenić pisarzy. Solą Wrocławia są i będą uczeni i rozwój kulturalny miasta widzimy tylko w znaku sojuszu naukowo-literackiego. Młody ferment literacki jest zapowiedzią przyszłego urodzaju. Ale już teraz bardzo potrzeba tu pisarzy starszych, w każdym razie doświadczonych.

W podobnej sytuacji jest Szczecin. Ale Szczecin nie ma uniwersytetu. W Szczecinie pisarz musi być przede wszystkim organizatorem życia kulturalnego, tu nie ma czasu na spokojne wymieranie lub kameralną za drzwiami zatrzaśniętymi od ulicy twórczość. Może się to nam nie podobać ale obowiązki pisarza w wielkim mieście, w którym dopiero organizuje się ruch kulturalny, są szersze choć i dość powierzchowne. We Wrocławiu można napisać książkę na jakikolwiek temat i położyć na ostatniej kartce podpis: Wrocław 1948. Już ten fakt ma wymowę polityczną i trwałość kulturalną. W Szczecinie trzeba by się zastanowić, czy to wystarcza. Koncentracja wysiłków na obrazie miasta jest tu ważniejsza, bo obraz ten w dziedzinie kulturalnej, w odróżnieniu od Wrocławia, wciąż jeszcze jest nierówny.

Dwa ośrodki należy wymienić, gdy się mówi o początkach ruchu literackiego w Szczecinie. Ośrodek Polskiego Radia, które skupiło kilku pisarzy, dziś już autorów książek wydanych w Szczecinie, oraz ośrodek wydawniczy „Polskie pismo i książka", który zaczął wydawać tygodnik „Szczecin", zamieniony dziś na imponujący zawartością treściową i zamierzeniami „Tygodnik Wybrzeża". W obu tych ośrodkach, które współdziałały także w założeniu Klubu Literacko-Artystycznego (wtajemniczeni twierdzą, że tu i tam działają ci sami ludzie, co musi budzić podziw dla ich ruchliwości), koncentracja regionalna była głównym motorem twórczości, oraz głównym źródłem wzruszeń i inwencji. W tym stanie rzeczy tacy osadnicy, jak Gałczyński czy Andrzejewski, którzy zamieszkali ostatnio w Szczecinie, albo wzbogacają środowisko szczecińskie o szersze perspektywy literacko-kulturalne, jeśli oczywiście zechcą brać udział w ruchu kulturalnym miasta, albo też zachowają wobec niego neutralność, oddając się twórczości.

Szczecin jest miastem nadmorskim i dlatego wysiłki i ambicje obu wymienionych grup zmierzają do specyfikacji literackiej. „Tygodnik Wybrzeża" ma ambicję zastąpienia przedwcześnie zgasłego „Wiatru od morza" i wierzymy, że mu się to uda. W tej dziedzinie ekspansja Szczecina w kierunku wschodnim jest pożądana i potrzebna. Środowisko literackie może się tu okazać wkrótce ważnym centrum zainteresowań marynistycznych i organizacji pisarzy - marynistów. Jan Papuga, autor „Szczurów morskich", poszedł w tym kierunku nawet dość daleko, bo zorganizował osiedle literacko-marynistyczne, które zlikwidował Urząd Morski.



Podobnie jak we Wrocławiu odczuwa się w Szczecinie brak pisarzy. Istniejąca tu grupa broni się nawet przed założeniem Oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich, przeczuwając słusznie, że cała robota — a może jej być istotnie wiele — spadnie na jej barki. Te dwa miasta Wrocław i Szczecin, muszą się znaleźć na pierwszym miejscu planu przesiedleńczego pisarzy, jeśli taki plan przynajmniej w ogólnych zarysach da się stworzyć.

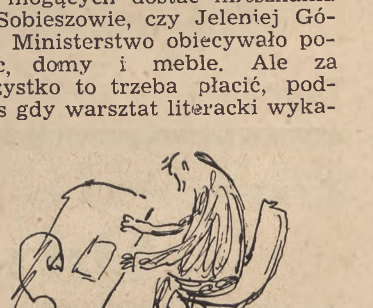
IV.

W obrazie naszym widzimy całe połacie Ziem Odzyskanych, pozbawione pisarzy, widzimy miasta wojewódzkie (Olsztyn), w których nie mieszka ani jeden pisarz, miasta ruchliwe z odbudowanym przemysłem, przez które nie przewinął się ani jeden pisarz, problemy, które czekają na artystyczną oprawę, tematy, po które nie ma kto sięgnąć, sprawy, które przekraczają możliwości niewielkiej gromady literatów polskich. Widzimy cały niedostatek i ubóstwo naszego życia literackiego, tę rozpaczliwie małą ilość ludzi pióra, zdolnych do objęcia nowej ziemi, nie mówiąc już o organizacyjnej pomocy w ogólnej akcji kulturalnej na Ziemiach Odzyskanych. Pomimo to pisarzom na tych ziemiach dzieje się źle. Myślę oczywiście nie o tych ludziach, którzy bez względu na miejsce zamieszkania potrafią wyżyć z doskonałego swego pióra. Myślę o tej liczniejszej grupie, którą pociągnęła problematyka terenu, która oddalając się na razie od literatury w sensie twórczym, poszła w służbę roboty kulturalnej najszerzej pojętej, upowszechnienia literatury. Jednym słowem wykonuje tę trudną robotę, której pisarz *w tej mierze* wykonywać nie powinien, jeśli pragnie tworzyć i wspinać się wyżej po szczeblach drabiny literackiej.

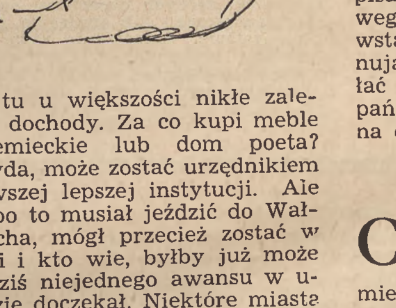
Tymczasem gdziekolwiek osiądziecie, teren wołał będzie o waszą pomoc, wyciągał was zza biurka, wciągał w huczący młyn społeczny, dając wprawdzie bogate doświadczenie, ale odciągając od zwykłej literackiej pracy.



Pisarzom powodzi się źle. Kozikowski we wspomnianym numerze „Warszawy" pisze o kolegach, nie mogących dostać mieszkania w Sobieszowie, czy Jeleniej Górze. Ministerstwo obiecywało pomoc, domy i meble. Ale za wszystko to trzeba płacić, podczas gdy warsztat literacki wyka-



zuje tu u większości nikłe zaledwie dochody. Za co kupi meble poniemieckie lub dom poeta? Prawda, może zostać urzędnikiem pierwszej lepszej instytucji. Ale czy po to musiał jeździć do Wałbrzycha, mógł przecież zostać w Łodzi i kto wie, byłby już może do dziś niejednego awansu w urzędzie doczekał. Niektóre miasta potworzyły nagrody literackie. Wrocław, Szczecin, Opole, Jelenia Góra, Ziemia Nyska. Nagrodę Wrocławia jednak podzielono między dyrektora teatru a pewną wybitną pisarkę, a i tej połowy jej nie życzono. Nagrodę Szczecina, zresztą zasłużenie, dostał autor mieszkający w Warszawie Jelenia Góra i Opole nie przyznały jeszcze swoich nagród. Nagrodę Ziemi Nyskiej dostał m. in. w podziale pewien pisarz, który prowadząc gospodarstwo, oszczę-



dza na kupno konia. Cóż kiedy i Nysa nie pomogła, wciąż za mało na kupno jednego konia

Trzeba by się poważnie zastanowić nad przyszłością, nie tylko zresztą materialną, owych niespełna czterdziestu pisarzy osiadłych w różnych punktach Ziem Odzyskanych. **Czterdziestu pisarzy na 6 milionów ludności na obszarze przeszło stu tysięcy km kw., czyli jedna czternasta ogólnej liczby pisarzy polskich wobec jednej czwartej ludności polskiej na obszarze równym prawie jednej trzeciej obszaru państwa polskiego.** Ten rachunek, [illegible] w sensie statystycznym, nie jest ścisły przy zastosowaniu miary specyficznej roboty, którą ta czterdziestka w masie swej wykonała w danym środowisku. Jeśli jednak przy takim stosunku sił słyszymy jeszcze o [illegible] pisarzy [illegible] musimy uwierzyć w jakiś poważny błąd w ogólnych stosunkach kulturalnych naszego kraju. I ten problem — zatem — problem biedy w szeregach pisarzy na Ziemiach Odzyskanych, który należy pod rozwagę Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Terenowe rozsiedlenie pisarzy jest pożyteczne również i ze względu na ogólną organizację czytelnictwa. Wokół każdego z pisarzy, przeniesionego do pewnego samotnego ośrodka, winny się gromadzić ciekawsze i intensywniejsze umysły środowiska. Przy jego pomocy powstać winien Klub Literacki. Sieć klubów literackich na terenie Ziem Odzyskanych absolutnie nie zadowala. Najczynniejszy jest Klub w Szczecinie, rolę Klubu, zresztą w sposób niezwykle chlubny, spełnia Towarzystwo Miłośników Języka i literatury we Wrocławiu, zaczął działać klub w Opolu, istnieje klub w Jeleniej Górze, przed kilku tygodniami powstał klub w Olsztynie. Nie wiem, czy jeszcze gdzieś istnieją kluby, ale prosty wgląd w mapę i w statystykę miast, w rozmieszczenie szkół, zwłaszcza typu średniego, nakazuje powstanie klubów w takich miejscowościach jak Wałbrzych, Świdnica, Legnica, Zielona Góra, Gorzów itd. Nie wspominamy tu już o nadgranicznych miejscowościach, jak Zgorzelec, gdzie ludzie żyją plotką polityczną i emocjonują się wódką, a niejasne wiadomości o rozkwicie ży-



cia kulturalnego po drugiej stronie rzeki nie budzą w nich nawet ambicji współzawodnictwa, które tu na granicy jest także sprawą dojrzałości i pewności politycznej.

Front literacki na Ziemiach Odzyskanych jest częścią ogólnego frontu odbudowy kulturalnej kraju, frontu jedności całego obszaru Rzeczypospolitej. Są w tym froncie, jak widzieliśmy, poważne luki, które przy obecnym stanie sił pisarskich załatać nam będzie trudno. **Drogi naprawy biegną nie tylko przez serca pisarzy, gdzie gromadzą się pozytywne impulsy współczesnej naszej rzeczywistości, ale i przez pokoje Ministerstwa Kultury i Sztuki, przez ręce wojewodów, starostów i burmistrzów.** Mechanizm powstania nowej rzeczywistości literackiej w Polsce z takim uwzględnieniem Ziem Odzyskanych, na jakie pasuje ich szczególne znaczenie gospodarcze, polityczne czy wzrastające demograficznie, nie jest jedynie tajemnicą i własnością pisarzy czy ich Związku Zawodowego. W równej mierze przy powstaniu takiego dobrze funkcjonującego mechanizmu współdziałać winny różne inne czynniki, z państwowymi i samorządowymi na czele.

V.

Cieszmy się jednak. Cieszmy się, bo powoli przełamuje się niewiara w trwałość przymierza, jakie literatura obiecuje zawrzeć z Ziemiami Odzyskanymi. Dwie wspaniałe epopeje, należące do najbardziej poczytnych utworów literatury powojennej, Władysł. Jana Grabskiego „Saga o Jarlu Broniszu" i Antoniego Gołubiewa „Bolesław Chrobry", obie nagrodzone przez jury „Odry", oto czołówka, do której zbliża się z miesiąca na miesiąc każda coraz to nowsza pozycja — powieść (Paukszta), dramat (Gołba), poezja (Sztaudynger, Mrozowski, Karpowicz), reportaż (Sulima, Jasienica, Koźniewski, Bednorz, Rogala). Z pogranicza rzetelnej wiedzy i literatury pięknej notujemy wspaniałe „Spotkania wrocławskie" Tadeusza Mikulskiego. Powstaje nowa tematyczna gałąź literatury, która z pewnością wywrze także mocny wpływ na organizację życia literackiego na Ziemiach Odzyskanych, na ideologiczne podstawy tworzących się tu grup pisarskich, na ogólny stosunek do kultury polskiej ludności tu osiadłej, autochtonicznej czy napływowej. Cieszmy się, bo wbrew trudnościom i oporom, wbrew w wadliwej organizacji kultury, spoczywającej na prowincji w rękach ludzi nie orientujących się zbytnio w potrzebach naturalnych terenu, jeśli chodzi o dziedzinę kultury, wbrew antykulturalnej psychozie, panującej wśród większości osadników Ziem Odzyskanych, osiadli tu pisarze, choć liczbą tak ubody, spełniają ważną robotę o znaczeniu ogólnopaństwowym.

Są z nimi muzy, choć w młynie społecznym często mną się im skrzydła, są natchnienia, płynące z drobnych codziennych faktów [illegible] Pisarz pomnaża realną i emocjonalną wartość Ziem Odzyskanych, o tym trzeba pamiętać!

Wilhelm Szewczyk

ZDZISŁAW HIEROWSKI

Śląskie ścieżki poetów

Zapoczątkowany jesienią 1946 roku „Arkusz Śląski" po szerej przerwie doczekał się kontynuacji. W tej chwili obejmuje już 11 pozycji, z których rok 1948 przyniósł pięć. Zawierają one po garstce wierszy następujących autorów: Wilhelma Szewczyka, Wojciecha Żukrowskiego, Janiny Zabierzewskiej, Jana Pierzchały i Józefa Nachta-Prutkowskiego.

Założeniem tego cyklu wydawniczego było stworzyć przynajmniej skromną namiastkę wydawnictw poetyckich, z którymi dosyć ciężko jest u nas po wojnie, ułatwić próbne przynajmniej debiuty poetom młodym, spopularyzować poezję przez edycje tanie i łatwe do nabycia.

Wiele z tych zadań pierwsza seria „Arkuszy" spełniła. Statystycznie tylko rzecz ujmując, debiutów było dotychczas trzy (Aleksander Widera, Władysława Szkaradkówna, Jan Pierzchała). Z poetów, którzy nie doczekali się jeszcze publikacji swego dorobku lat dziesięciu w powojennym tomie, w „Arkuszu" wystąpili: Jan Baranowicz, Aleksander Baumgarden, Janina Zabierzewska, Józef Nacht-Prutkowski. Nie przypadkowym dopełnieniem działalności pisarskiej stały się „Arkusze" dla Edmunda Osmańczyka (dialog dramatyczny „Hans Schneider"), Wilhelma Szewczyka i Wojciecha Żukrowskiego.

Była jeszcze myśl inna. Dwie serie „Arkusza", obejmujące dwadzieścia pozycji, miały utworzyć dwa tomy antologii współczesnej poezji na Górnym Śląsku. Miały dać odbicie życia literackiego w tym środowisku, życia, które rozwinęło się po r. 1945 wcale żywo i przez pewien czas pozwalało na snucie większych nadziei, których i dzisiaj nie porzucamy. W tej chwili jednak owa koncepcja antologii środowiskowej została jakby zapomniana, ale chyba jeszcze nie przekreślona. Można by nawet przez wydanie wierszy Żukrowskiego i Pierzchały dopatrywać się próby jej rozszerzenia na cały Śląsk z Dolnym włącznie. Ale to już sprawa dalszego ciągu . , .

Spośród ostatnich pięciu „Arkuszy" chronologicznie i gatunkowo pierwsze są te, które zawierają wiersze Szewczyka i Żukrowskiego. Solidaryzowałbym się chyba ze wszystkimi dotychczasowymi recenzentami „Arkuszy", gdybym w tym miejscu zaczął narzekać na szczupłość wyboru. Ta szczupłość ma swój sens pozaliteracki i dlatego podnosić jej tutaj nie ma celu, chociaż nie sposób przyznać, że tych kilkanaście wierszy znaczy czasem dla recenzenta tyle, co dla widza w kinie znaczą reklamowe urywki z zapowiadanego filmu. Mogą się podobać, mogą zachęcać, ale skonstruowanie całości obrazu na ich podstawie jest niemożliwe, chyba że mamy do czynienia już z jakąś sztampą poetycką czy specjalnie autorską, znaną nam skąd indziej. W „Arkuszach" Szewczyka i Żukrowskiego to ostatnie zjawisko nie zachodzi, więc o syntezę choćby — na domysłach opartą trudno. Toteż mimowoli po prostu cisnąć się będą pod pióro uwagi, którym za podkład służy coś więcej niż zawartość samego „Arkusza".



Arkuszowe wiersze Szewczyka, to zapowiedź większego zbioru liryk z lat powojennych. Ponieważ od ostatniego tomu, od „Posągów" upływa już trzy lata, na zbiór taki byłby już czas wysoki. „Arkusz" wiąże się jeszcze ściśle z dotychczas znanym dorobkiem poety, ale niektórymi wierszami wybiega już w nowe, inne okolice przeżyć i wrażeń poetyckich. Dawny jest w nim trochę barokowy patos poezji społecznej, nowe są najbardziej osobiste próby rozluźniania sensu i godzenia sprzeczności ludzkiego istnienia. Czołowy wiersz zbiorku „Geneza poezji", odsłania korzenie jego poezji, korzenie rodzinne, społeczne, krajobrazowe, należy do gatunku bezpośrednich wyznań poetyckich, które — jak wykazuje historia — nie zawsze są trafne, a często układają się tak, jak autor pragnąłby je widzieć. Uważnemu czytelnikowi wierszy Szewczyka „Geneza" nie przynosi wiele nowego. Jest to raczej jakby próba podsumowania zwierzeń genetycznych, rozsypanych wcale licznie już w lirycznych dygresjach „Hanysa", a następnie jeszcze liczniej w lirykach „Posągów". Powtarzają się motywy i obrazy, i wiersz ten nie tłumaczy się jakimś szczególnym naciskiem potrzeby wyznań. Wydaje mi się on więcej wynikiem dążenia do pewnej uporządkowanej konstrukcji zagadnienia poetyckiego. Zatrzymując się przy nim, trudno oprzeć się pokusie wyrwania z dłuższego okresu następujących wierszy:

> „.i teraz słowa sypkie, szeleszczące wartko,
> zamieniam w kółka, koła, żelazne obręcze,
> wijące się na szczytach wyciągowych wież,
> i niech zgarnia powietrze, dym i barwę świtu
> wśród lin rozdygotany, zadyszany wiersz.

Chodzi o te słowa „sypkie, szeleszczące wartko", które poeta zamienia na „kółka, koła, żelazne obręcze, wijące się na szczytach wyciągowych wież". Chodzi o to, że poezja Szewczyka nasycona jest tym sypkim szelestem słów, że często słowa te jak wyrzucane niezawodną ręką żonglera kółka, koła, obręcze wirują, by zniknąwszy pozostawić tylko przelotne, nie utrwalone intensywnością przeżycia wrażenie czegoś efektownego, ale ulatującego. Odczuwa się w tym skłonność do konstruowania obrazu dla obrazu, metafory dla metafory ,do poddawania się samemu urokowi poetyckiej roboty. I z tych skłonności zdają się wynikać w wierszach Szewczyka rzeczy niepotrzebne, marginalia myśli i wrażeń, zbędne dokreślanie obrazu poetyckiego. Są takie miejsca i w „Genezie", są i w „Popiołach w kościele św. Anny", są w najlepszym chyba wierszu zbiorku „Wczoraj i dziś". Dopełniłbym to spostrzeżenie, określając tę cechę jeszcze jako uleganie możliwościom deformacji poetyckiej. Ta deformacja jest u Szewczyka bogata, oryginalna, własna, czasem nawet aż dziwaczna i szokująca w swych chwytach. To określenie „chwyt" zdaje się najlepiej przylegać do niektórych miejsc tych wierszy. Ten chwyt czasem zawodzi jak niewłaściwy klucz monterski i nie otwiera obrazu, który miał zostać odkryty dotknięciem sło-

(Dokończenie na str. 3)

Hierarchia grozy

(Dokończenie ze strony 2)

III.

P. Z. Żorecka omawia potrzeby istnienia muzeum. Poruszając zagadnienie prac badawczych i gromadzenia materiału dowodowego pisze, że **„wiedza o Oświęcimiu" ma ocalić pojęcie bezwzględnej wartości człowieka"** (podkreśl. p. Z. Ż.).

Nie ma potrzeby obrony tego pojęcia. Śmierć O. Kolbego była mocnym dowodem istnienia w duszy ludzkiej ładunku dobra, wiecznie żywego i dynamicznego, nawet tam za drutami. Wartość człowieczeństwa przetrwała mimo oświęcimskiego paroksyzmu zła.

I nawet nie była zagrożona, trwa wiecznie.

Człowiek zdolny jest obok niezwykłych wzlotów również do niepojętego upadku i zwyrodnienia. **Oświęcim winien być trwałym obrazem ludzkiego upadku i groźną przestrogą dla nowych gwałcicieli wolności człowieka.** Tutaj za p. Z. Żorecką powiem, że chodzi „o zmobilizowanie wszystkich sił do walki z tym, co do piekła oświęcimskiego mogłoby doprowadzić po raz wtóry".

Muzeum oświęcimskie nie jest, jak chce autorka, „miejscem wiecznego spoczynku pomordowanych". Unikajmy tanich metafor — zdarzają się zresztą najznakomitszym piórom. P. Z. Żorecka po skończeniu argumentacji o potrzebie zapomnienia pisze: „A jednak muzeum istnieje i musi istnieć jako zbiorowy grób 1/6 ogólnej liczby ludności Polski. Nie będziemy w porządku, jeśli poprzestaniemy tylko na wciągnięciu tej cyfry w roczniki statystyczne! Zmarłym milionom więźniów należy się miejsce wiecznego spoczynku. Zmarłych trzeba czcić!"

Wieczny odpoczynek możemy wyprosić dla nich tylko modlitwą, jeśli wierzymy w ogóle w ich dalszy byt. Cmentarz nie jest potrzebny poległym, jest potrzebny żywym. **Jako przypomnienie i oskarżenie,** a nie jako miejsce wiecznego odpoczynku. Cześć zmarłym nie powinna sprowadzać się do postawienia nagrobka. Marna to cześć. Czci się poległych przez pamięć. Ofiary Oświęcimia zasługują na wieczną pamięć w całym narodzie a nie na oficjalną tylko nazwę cmentarza ofiar Oświęcimia.

W czasie oświęcimskiej dyskusji atakowano kilkakrotnie stanowisko emocjonalne. Problem Oświęcimia jest zbyt rozległy i skomplikowany, by zamykać go w szufladkę jednego ujęcia czy interpretacji. Za dużo płaszczyzn głębokiej i aktualnej problematyki krzyżuje się nad „Soły brzegiem zielonym". Przez działanie wszelkimi dostępnymi środkami wyrazu, zarówno przez chłodne zestawienie faktów jak i wpływanie na odruchy emocjonalne lub wreszcie jak najsilniejsze podkreślanie międzynarodowego charakteru Oświęcimia, muzeum tego największego obozu zbrodni winno stale przypominać wiecznie aktualną, brutalną prawdę o konsekwencjach podeptania człowieka.

Głównym zadaniem muzeum jest właśnie obrona przed różnymi postulatami zapomnienia ze względu na takie czy inne dobro społeczeństwa, dopiero potem gromadzenie chłodnej, rzeczowej argumentacji. Kiedyś może warunki pozwolą na pogrzebanie problemu Oświęcimia pod całunem zapomnienia. Trzeba więc pamiętać!

Świat współczesny nie odszedł jeszcze od sytuacji, która wytworzyła obozową rzeczywistość. Ewolucja i kierunki jego rozwoju, zwiększająca się historia wojenna, nie wskazują na to, aby głębokie schorzenia, uzewnętrzniające się w istnieniu koncentracyjnych obozów, było już poza kręgiem aktualnych niebezpieczeństw. Zmontowanie maszyny prowadzącej do totalnego mordowania narodów nie jest takie trudne. Hitler dokonał tego dzieła wespół z narodem o świetnej tradycji kulturalnej w niespełna 9 lat. Stwarzanie warunków do ludobójstwa wynika z początku nieistotnych, dyktatorskich posunięć i na pozór drobnych swoistych tez ideologicznych. Dopiero późniejsza ich weryfikacja z wytworzoną rzeczywistością wstrząsa na chwilę sumieniem świata.

Pod żadnym pozorem nie wolno nam dopuścić do pokrycia tylko chłodnym zestawieniem faktów niedawno minionej rzeczywistości. Obiektywne zestawienie cyfr przemówi tylko do szczupłej garstki zaprawionych w abstrakcję intelektów. Tymczasem język Oświęcimia winien być komunikatywny dla ludzi różnego formatu i intelektu i dla ludzi różnych epok. Truizmem jest twierdzenie, że Oświęcim przestał być narodową sprawą, „szowinistyczną placówką polskiej martyrologii". Nie jest też tylko oskarżeniem narodu niemieckiego. Jest częściowo oskarżeniem całej współczesności. Jako taki przemawiać winien wszelkimi środkami wyrazu do sumienia każdego człowieka.

Argument p. Z. Żoreckiej o stępieniu wrażliwości ludzi jest argumentem ważkim. Częstym zjawiskiem jest zamykanie radia lub odkładanie znudzonym ruchem książki, jeśli tylko zajmują się problematyką wojenną i obozową.

Ludzie mają dość obozowej i wojennej zmory. Pomimo tego nie wolno dopuścić, aby zapominali o dymiących krematoriach Oświęcimia.

Optymistyczna tendencja pamięci pracować będzie niewątpliwie w kierunku umniejszania wagi i istotnej grozy obozów. Już teraz w krajach zachodnich efektowne, sensacyjne i pikantne szczegóły minionej wojny mają większą popularność i literaturę niż stała czteroletnia martyrologia kilkunastu milionów ludzi. Grozi nam przyjęcie fałszywej hierarchii wartości i problemów.

Na straży tej hierarchii, w trosce o odpowiednie wartościowanie zjawisk, stać winno muzeum i najtęższe pióra.

Postulując potrzebę realistycznego kontynuowania pamięci o nagiej prawdzie Oświęcimia nie nawołuję przecież do makabryzmu. Między tymi dwoma możliwościami istnieje granica podobnie jak między pornografią a sztuką. Znalezienie jej — oto jedno z zadań muzeum oświęcimskiego.

Jan Paweł Gawlik

Bezprawna redukcja pisarzy

Drukujemy poniżej uwagi polemiczne Mieczysława R. Frenkla w związku z artykulikiem niejakiego Jana Popularnego o pisarzach śląskich na łamach „Trybuny Robotniczej". Uwagi poniższe mają szersze znaczenie i odnoszą się w ogóle do praw krytyki nadto uważamy, że ze względu na wagę i rozpowszechnienie (600.000 egz.) takiego pisma, jakim jest „Trybuna Robotnicza", fałszywa informacja pomieszczona na jej łamach domaga się sprostowania. Równocześnie wyjaśniamy, że według oświadczenia zarządu śląskiego oddziału ZZLP, zarząd jak i związek nie mają nic wspólnego z informacjami p. Popularnego, błędna jest zatem uwaga o inspiracji.

Artykulik p. Jana Popularnego, ogłoszony w „Trybunie Robotniczej" z dnia 11 września br. pod tytułem „Wśród literatów śląskich", ma wszystkie cechy inspirowanego przez Zarząd ZZLP biuletynu, zawiera szczegółowe dane o pracy i planach na przyszłość jednej grupy pisarzy, ściśle przemilczając osiągnięcia pominiętych i jest bardzo jednostronny.

Informator przedstawia gromadę literatów żyjących na Śląsku według modelu budowy atomu. Jądro z sześciu pisarzy „czołowych", uwieńczonych częściowo liściem bobkowym, otaczają krążąc dokoła niego elektrony dalszych sześciu wybranych, nazwanych na cześć narodów bliskich i dalekich Czechem, Chińczykiem i Jugosłowianinem, poza tymi zaś 12 ładunkami elektryczności twórczej, panuje kraina martwych dusz, nierόbstwa i próżniactwa. Słowem: improductivite slave, słowiańska obłomowszczyzna.

Zarzucany we wstępie do artykuliku niektórym pisarzom brak solidarności doznał wzmocnienia ze strony p. Popularnego. Bo cóż to za solidarność praktykującego miłośnika zgody, skoro trzydziestu członków katowickiego ZZLP poza dwunastką odsądza w czambuł i wbrew prawdzie od wysiłku twórczego aby uwypuklić zasługi jądrowej szóstki na płaskim tle trzydziestogłowego marazmu. Uważam to za wysoce nielojalne i niekoleżeńskie. Interesy są intersami, mówią Francuzi, informator odbiegający od prawdy wprowadza w błąd szerokie rzesze czytelników i szkodzi kolegom, którzy nie cieszą się jego osobistymi względami. Koteryjność wprowadza nieład i dezorganizuje życie kulturalne na korzyść jakiejś elitarnej szóstki ze szkodą dla ogółu piszących. Przemilczanie nie jest motorem współzawodnictwa i do tego źle zrozumianego, lecz premią dla tych, którzy umieją wychwalać swój towar. Takie metody nie licują z zawodem pisarskim, który opiera się na powołaniu, a nie na krzykliwej reklamie.

Tym trzydziestu „nierobom" literackim pan Popularny powinien był dać szanse, zapytać ich, co mają na warsztacie, natchnąć ich wiarę, a jeżeli uważa ich za grafomanów, a siebie za stuprocentowego biegłego w krytyce z mandatem skazywania kolegów na utratę nadziei na przyszłość, powinien ich skierować do innej produktywnej pracy, do teatru, do radia, do świetlic, aby mogli służyć według swoich miernych sił kulturze, której się przecież poświęcili. Niech tam każdy ze swego kąta przypatruje się wzlotom znakomitości. Odtrącać nie wolno nikogo.

Anomalią jest również sugerowanie na łamach dziennika, kogo jury nagród katowickich ma w przyszłości „obobkować". Czy katowicki ZZLP polecił panu Popularnemu lansowanie tego czy innego nazwiska, czy jądro wyrzuciło ten proton, czy eksplodował atom. Moim niekompetentnym zdaniem, jest to niezręcznym uprzedzaniem wypadków i działaniem na przyszły skład jury, nieznany szerokiej publiczności. Pan Popularny jak boss amerykańskiej partii politycznej wbił pierwszy gwóźdź w świadomość czytelników, którzy — mój Boże — nie zajmują się zbyt intensywnie twórczością i twórcami literackimi, innymi zaprzątnięci troskami. Nie jest to ładny chwyt w stosunku do nieuświadomionych. Nie wchodzę w meritum sprawy zasług i nie mam prawa jak Jan Popularny wywyższania czy lansowania kogokolwiek.

Ostatnie zdanie artykuliku pana Popularnego jest nawoływaniem „po chwaleniu się na zewnątrz do chwalenia się na wewnątrz" i pomijając niezręczność stylistyczną tego zwrotu, to „kochajmy się" staroszlachecki brzmi bardzo nieszczerze po przemilczeniu trzydziestu czy więcej nazwisk pisarzy, członków ZZLP Oddziału Katowickiego, którzy na pewno tak bardzo nie próżnowali, jak sądzi autor artykuliku, który wbrew temu, co napisał, wie i jest przekonany, że mają jak ci z jądra kilka pozycji twórczych na swoim koncie, niestety bez głośnika Popularnego i innych trąb jerychońskich.

Treść biuletynu pióra Jana Popularnego była dowodem nieprzemyślenia pewnych zasad fundamentalnych ustroju związków zawodowych i braku odpowiedzialności za ferowane sądy.

Elita umysłowa nie powstaje przez nominację.

O wartości członków związku zawodowego i ich pracy żaden członek na własną rękę publicznie nie powinien decydować ryczałtem przez przemilczanie eliminując 3/4 członków i bez przeprowadzenia badań i studiów ferując na nich wyrok unicestwienia.

ZZLP jest Związkiem Zawodowym, a nie ekskluzywnym klubem elitarnym.

MIECZYSŁAW R. FRENKEL.

WYDAWNICTWO ZZLP
Oddział w Katowicach

„ARKUSZ ŚLĄSKI"

Dotychczas ukazało się 11 zeszytów.

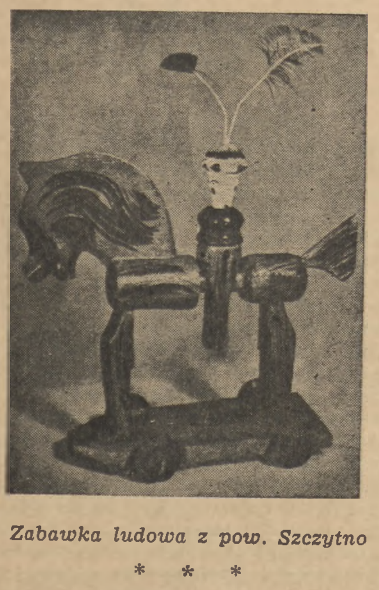
Zbiór „Arkuszy Śląskich" stanowi doskonałą antologię literatury śląskiej.

Architektura i sztuki plastyczne na WZO



Pawilon porcelany i wyrobów szkla nych. Projekt pawilonu: inż. architekt Wiktor Reiff. Rzeźba hutnika: prof. Borys Michałowski. Grafitto zewnętrzne: prof. Stanisław Dawski.

Margines olsztyński



Zabawka ludowa z pow. Szczytno

* * *

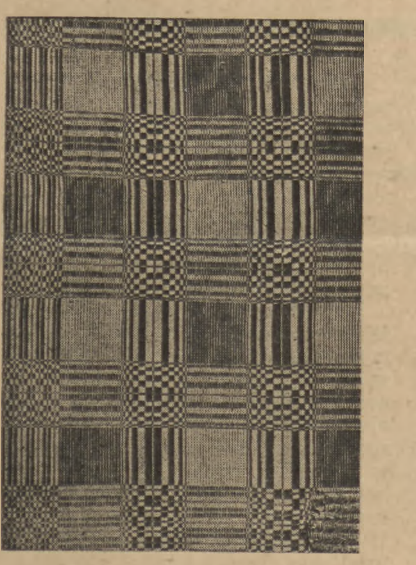
KILIM LUDOWY MAZURSKI, DATOWANY 1788



Jeden z najciekawszych przejawów twórczości wiejskiej na obszarze północno-wschodniej Polski. Niestety obiekt, który znajdował się w zbiorze w Olsztynie, zaginął w czasie działań wojennych i pomimo usilnych starań nie został odnaleziony.

* * *

TKANINA BAWEŁNIANA LUDOWA



w kolorze białym i czerwonym. Pochodzi z pow. olsztyńskiego. Jeden z charakterystycznych układów abstrakcyjnych motywów zwanych „cebulką".

* * *

TKANINA WEŁNIANA Z 1860 r.



amarantowa i ciemno-zielona. Pochodzi ze wsi Rożnowo pow. Olsztyński. Jedna z ciekawszych i zgromadzonych po wojnie.

* * *

SZAFECZKA MALOWANA Z 1815 r.



Wólka Dąbrowska (pow. szczycieński)

Wśród czasopism

W mojej rupieciarni teatralnej złożonej z przeróżnych programów, pojedynczych numerów efemerycznych czasopism, sprawozdań itp. błąkało się także kilka egzemplarzy pisma „Łódź Teatralna". Stanowiły one pamiątki niezbyt niestety częstych odwiedzin teatralnych w Łodzi i warszawskiej „Placówce". Egzemplarze więc były nieliczne, ale za to wyczytane niemal od deski do deski. Ich treść świetnie uzupełniała i poszerzała pamięć widzianej sztuki i stąd wrażenie odniesione z przedstawienia zawsze wiązało się z trwałym wrażeniem lektury, która nie pozostawiała wątpliwości co do tego, że mamy tu do czynienia z doskonale redagowanym, niezwykle celowo pomyślanym i wyjątkowo pożytecznym periodykiem teatralnym o nieustalonym czasie ukazywania się. Obecnie zdobywszy ostatnie jedenaście numerów pisma, czyli komplet za sezon teatralny 1947/48 oraz numer otwierający sezon bieżący, mogę podzielić się z czytelnikami uwagami bardziej szczegółowymi. Czynię to tym chętniej, że pismo najzupełniej zasługuje na zainteresowanie przekraczające krąg publiczności teatralnej Łodzi i Warszawy i że ostatnio wprowadzone zostało do kolportażu w kioskach i księgarniach „Czytelnika", a więc stało się dostępne i dla tych miłośników teatru, którzy nie mają szczęścia bywać na wszystkich premierach Państwowego Teatru Wojska Polskiego w Łodzi czy Warszawie.

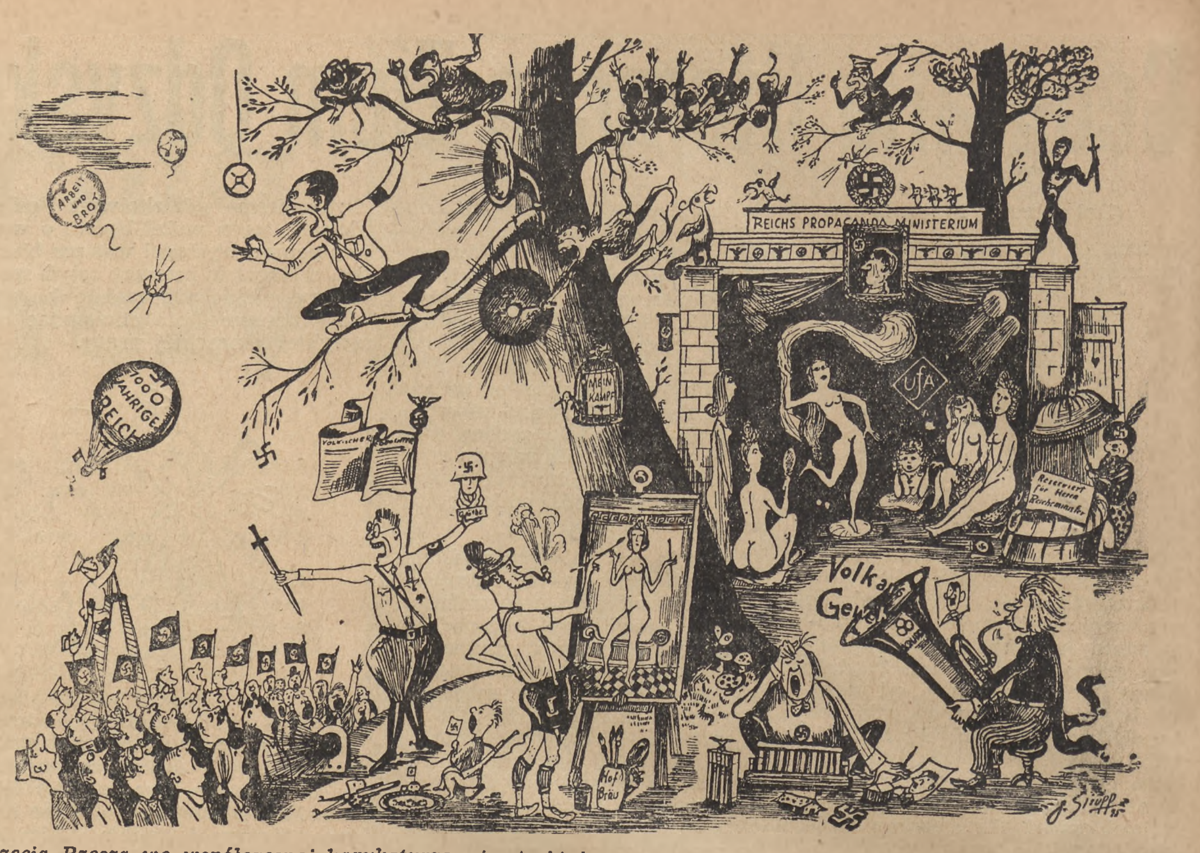
„Łódź Teatralna" ukazuje się zawsze z okazji premier tego teatru i jest jego organem oficjalnym, który prócz spraw jego scen w Łodzi i Warszawie obejmuje również sprawy Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Jest to więc periodyk ekskluzywny, obrazujący pracę dwóch tylko placówek teatralnych, w których grane są te same sztuki. Nie mniej jest to wzór, jak powinien i może wyglądać rozszerzony program poważnego i pionierskiego teatru, program, który oddany do ręki inteligentnego widza staje się potężnym czynnikiem podniesienia kultury teatralnej i literackiej.

Poza niewielką kroniką, która stanowi tylko dodatek informujący o sprawach organizacyjnych Teatru Wojska Polskiego oraz P. W. S. T. treść każdego numeru „Łodzi Teatralnej" związana jest bezpośrednio lub pośrednio ze sztuką, która wchodzi po raz pierwszy na afisz wydającego pismo teatru. Dlatego mógłbym tu na samym wstępie jedno zarzucić, mianowicie, że numer nie zawiera tego, co stanowi istotną część „programu teatralnego", spisu aktorów i realizatorów widowiska. Ponieważ teatr Leona Schillera wystawia zawsze niemal prapremiery i zawsze niemal rzeczy o wysokiej wartości literackiej, ponieważ przy tym realizacja sceniczna sztuki stoi tu na poziomie, którego pamięć choćby tylko ze względu na pewne szczegóły realizacyjne i pomysły godna jest utrwalenia, dla czytelnika, który nie wrzuca programu przyniesionego z teatru do kosza, element ten jest ważny. Czytelnikowi mniej zainteresowanemu nie zepsuje on na pewno całości numeru a może się jeszcze przyczynić do zacieśnienia kontaktu widza z zespołem ludzi pracujących w teatrze.

Każda wystawiana sztuka otrzymuje tu obszerne omówienie, które daje analizę jej treści i formy artystycznej, wiąże ją z całością twórczości autora oraz z epoką, w której powstała, kreśli jej dzieje w teatrach a zwłaszcza na scenach polskich. Raz jeszcze przeglądnąłem rocznik, by wymienić numery najlepsze, przynoszące treść najbardziej bogatą i wszechstronną. Trudno się tu było zdecydować. Najszczuplejsze z nich i stosunkowo najmniej ciekawe dotyczą dwóch polskich prapremier: Ważyka „Bankierów ruin" i sztuki poświęconej walce II Armii nad Nysą pt. „Gospoda pod wesołą kukułką" napisanej przez R. Matuszewskiego i J. Rojewskiego. Tu zresztą redakcja jest całkowicie usprawiedliwiona: szerzej i szczegółowiej nie było o czym pisać, obydwie sztuki należą do najsłabszych pozycji naszego scenopisarstwa po wojnie. Natomiast takie numery, jak poświęcony Zabłockiemu z okazji wystawienia „Fircyka w zalotach", literaturze dramatycznej rosyjskiej i teatrowi rosyjskiemu z okazji premiery „Zagadnienia rosyjskiego" Konstantego Simonowa, teatrowi francuskiemu i Armandowi Salacrou z okazji „Nocy gniewu" oraz Sartre'owi z okazji „Ladacznicy z zasadami", następnie Fredrze („Damy i huzary"), Prusowi („Omyłka") przynoszą materiał stanowiący trwały wkład w wiedzę o teatrze. Gdybyśmy mimo ogólnego wysokiego poziomu pisma chcieli wymienić jednak numer najlepszy, to wydaje mi się nim ten, który ukazał się z wystawieniem „Otella" i poświęcony jest Szekspirowi (68 stron, czternaście pozycji takich autorów jak Borowy, Helsztyński, Ordyński, Stromenger, Łopatyńska i inni).

„Łódź Teatralna" nie jest pismem popularnym. Adresowana jest do widza inteligentnego, wyrobionego i nie współżyjącego z teatrem jedynie w ramach trzech godzin spędzonych na spektaklu. Dla widza mniej przygotowanego zawarty tu materiał musi być streszczony i oświetlony przystępniej przy podkreśleniu najistotniejszych konkluzji poszczególnych artykułów. Przy takim kierunku i konstrukcji pisma można by wysunąć jeden jeszcze postulat ważniejszy od wyrażonego na wstępie uwag szczegółowych: szerszego uwzględnienia zagadnień realizacji scenicznej. Dotychczas bowiem „Łódź Teatralna" ma charakter głównie literacki, jest przede wszystkim literackim, historycznym i czasem socjologicznym komentarzem wystawianego utworu. Komentarz to wysokiej wartości, ale nie mniej niezupełnie kompletny i domagający się uzupełnienia przez elementy czysto teatralne, wprowadzające widza w zagadnienia gry aktorskiej, reżyserii, inscenizacji, scenografii. Od pisma postawionego na tym poziomie i ukazującego się w takim ognisku pracy teatralnej, jakim jest Łódź, można tego wymagać, gdyż realizacja tego postulatu leży chyba w możliwościach redakcji.

Miejskie Teatry Dramatyczne w Warszawie wydają podobne pismo pt. „Teatry Warszawskie", sceny krakowskie mają swoje Listy z teatru o ambicjach ogólnopolskich, w Katowicach mają zacząć wychodzić „Wieczory Teatralne". Przypuszczam, że nie jest to pełna lista periodyków teatralnych związanych z poszczególnymi miastami i scenami. Jest to zjawisko zasadniczo pożyteczne i mające dla widza teatralnego swoje znaczenie. Ale niepokoi przy tym wszystkim fakt, że nie mamy ustabilizowanego centralnego pisma teatralnego, który winien być wydawany niezawodnie przez Państwowy Instytut Wydawniczy Teatr. O tej sprawie należy pomyśleć. Rozwój życia teatralnego w Polsce powojennej domaga się istotnego rozwiązania. (ki)



Trzecia Rzesza we współczesnej karykaturze niemieckiej. Rys. Günther Strupp (1946)

Jury konkursu na tekst hymnu Związku Samopomocy Chłopskiej na drugim posiedzeniu w dniu 10 września 1948 r. w składzie: ob. ob. marszałka Sejmu Władysława Kowalskiego, dyrektora Hieronima Michalskiego, dyrektora Jana Maklakiewicza, Aleksandra Maliszewskiego, prezesa Stanisława Janusza, po zapoznaniu się z materiałem orzekło co następuje:

1. Żaden z tekstów nadesłanych nie nadaje się na hymn Związku Samopomocy Chłopskiej, ponieważ żaden z nich nie spełnia wymaganych warunków natury politycznej i artystycznej.
2. Wobec powyższego Jury nie przyznało ani jednej z nagród przeznaczonych dla autorów tekstu na hymn Z. S. Ch.
   Jury uważa, że część z tekstów może być wykorzystana jako pieśni społeczne.

Z cyklu: Teatry na Ziemiach Odzyskanych

Odwiedziny w Świdnicy

Jest rzeczą interesującą, a mało w prasie dyskutowaną obserwować życie kulturalne powojennej prowincji, dokładniej mówiąc tych regionów, których ośrodkami są miasta powiatowe lub mniejsze centra przemysłowe. Szczególnie ciekawy to problem na Ziemiach Odzyskanych, gdzie zmieszanie warstw ludności o różnorodnym stopniu uświadomienia kulturalnego wywołało jedyne, a z punktu widzenia socjologa niezmiernie ciekawe zjawiska. Ich zasadniczą cechą jest rzucające się w oczy nawet przy pobieżnej obserwacji, „również wzwyż" w zakresie potrzeb kulturalnych. Czy jest to wynikiem przemian społeczn,. czy też oddziaływania silnie aktywnych grup ludności, które drogą wielkiej emigracji przerzucone zostały z dużych miast na Zachód, czy wreszcie łącznego splotu tych i wielu jeszcze innych przyczyn, to temat znacznie przekraczający ramy tego artykułu, choć niewątpliwie frapujący dla przyszłego historyka kultury.

Przykładem intensywnej działalności w tej dziedzinie, w skali przed wojną dla tej wielkości miast niespotykanej, jest **Świdnica**, trzydziestotysięczne miasto powiatowe Dolnego Śląska. **Tu zaczęło wychodzić pierwsze po wojnie pismo na Ziemiach Odzyskanych „Wiadomości Świdnickie"** tu wytworzył się silny ośrodek szkoleniowy, liczący obecnie ponad **dziesięć szkół średnich** najrozmaitszych typów, tu obrało sobie siedzibę kilku artystów-plastyków z uczniem Matejki Gadomskim na czele, tu wreszcie ma swą siedzibę jeden z najruchliwszych teatrów na Zachodzie. Temu ostatniemu chciałbym poświęcić nieco więcej słów, gdyż zapatrzona w wielkie ośrodki teatralne nasza prasa literacka rzadko tylko znajduje miejsce na swych łamach dla zjawisk, które dla scalenia Ziem Odzyskanych z Macierzą doniosłą odgrywają rolę.

Miejski Teatr w Świdnicy rości sobie pretensje że **jest pierwszą tego rodzaju placówką po wojnie na ziemiach zachodnich.** Pierwszy jego występ odbył się 10-go listopada 1945 r. Była to co prawda tylko rewia ale że wyrugowała ona ze sceny pięknego, choć niewielkiego teatru panoszących się tu jeszcze aktorów niemieckich (!), miała dla formującego się dopiero społeczeństwa polskiego doniosłe znaczenie. Rewia ta osiągnęła 5 przedstawień, ale już następny utwór którym było „Poskromienie żon" Hennequina miał ich jedynaście. Podobną frekwencją cieszyło się kilka następnych sztuk, których do końca czerwca 1946 r. wystawiono 8 z łączną liczbą 69 przedstawień.

Sezon 1946/7 przyniósł kilka zmian, które ugruntowały rolę świdnickiego teatru. Dyrekcję po p. Raschtce, który objął administrację teatru w Jeleniej Górze objął p. Żurawski młody ale pełen zapału aktor, kierownictwo literackie zaś p. Jarzyna, b. dziennikarz lwowski, z wykształcenia teatrolog. Linia repertuarowa uzyskała bardziej zdecydowaną linię. Wystawiono szereg nowości jak: „Zamach" Brezy i Dygata, „Ich dwóch" Niewiarowicza „Przyjaciel nadejdzie wieczorem" Campaneza i Noe. Z utworów klasycznych pokazano „Śluby panieńskie", „Świętoszka", oraz fragmenty utworów Słowackiego w wieczorze, poświęconym jego twórczości. Największym sukcesem cieszyła się „Matura" Fedora, osiągając rekordową liczbę przedstawień (25). W tym również okresie rozpoczął teatr zdobywanie terenu, organizując najpierw sporadyczne a następnie stałe przedstawienia w szeregu miast dolnośląskich. Objęto przede wszystkim sąsiednie miasta powiatowe: Wałbrzych, Dzierżoniów, Jawor, Ząbkowice ale także posiadającą swoją własną scenę Jelenią Górę oraz wiele mniejszych miasteczek. Łącznie zorganizowano w tym okresie 10 premier ze 131 przedstawieniami.

Główna przemiana dokonała się jednak w łonie samego zespołu. Część jego składała się jeszcze z amatorów. Postawili oni sobie za cel uzyskanie uprawnień aktorskich i zadanie to wypełnili, poddając się zbiorowo z pomyślnym dla siebie rezultatem. Irena Solska czy prezes ZASP-u Damięcki wydali o nim jak najlepsze opinie. Wynikiem tego było uzyskanie z nowym sezonem konwencji ZASP-u i wydatnej subwencji państwowej.

Zespół postawiony wobec coraz to bardziej wymagającej i krytycznie, w dodatnim tego słowa znaczeniu, nastawionej publiczności zdobywał się na coraz wyższy wysiłek artystyczny.

Okazało się to jasno w repertuarze ostatniego sezonu. W dziesięciu premierach z ogólną liczbą blisko 200 przedstawień widzieliśmy już takie pozycje, jak „Brat marnotrawny" Wilde'a, „Wilki w nocy" Rittnera, lub sztuki o zdecydowanym wydźwięku społecznym: „Moralność pani Dulskiej", „Korzenie sięgają głęboko", czy „Inspektor przyszedł" Priestleya. Ta ostatnia była największym osiągnięciem artystycznym teatru. Rolę główną kreował w niej znany aktor i reżyser Bieganski Wiktor, który w międzyczasie objął dyrekturę teatru.

Pod jego kierownictwem Miejski Teatr w Świdnicy przygotowuje się do nowego sezonu. Zaangażowano szereg nowych sił usuwając w ten sposób jedną z głównych bolączek, szczupłość zespołu. W próbach jest sztuka Kruczkowskiego „Odwety". Projektuje się wystawienie utworów Fredry, Shaw'a oraz szeregu nowości. Projektowane jest zacieśnienie współpracy ze szkołami oraz związkami zawodowymi.

W okresie wakacji przeżywała Świdnica okres „zimnej wojny", gdy rozpuszczono pogłoski o rzekomej likwidacji teatru. Zdecydowana postawa społeczeństwa świdnickiego, które stanęło w obronie swej sceny i zdrowa polityka władz nadrzędnych zlikwidowały rychło te obawy. Teatr świdnicki, który w przeciwieństwie do innych teatrów dolnośląskich wykazywał stale wzrastającą linię rozwojową uzyskał odpowiednie poparcie finansowe i zapewnienie swego bytu.

Jan Ziemba.

Śląskie ścieżki poetów

(Dokończenie ze strony 3)

wa poety. Dlatego wydaje mi się, że nowe wiersze Szewczyka mimo wyraźnych cech własnej indywidualności poetyckiej, mimo ich ogólnej niewątpliwej doskonałości, nie znamionują jeszcze skończonego etapu rozwoju artystycznego, nie dojrzały jeszcze całkowicie wewnętrznie, w głęboko ukrytym punkcie skrzyżowania treści z formą wyrazu, w miejscu, gdzie te dwa elementy poezji muszą doznać stopienia. Słowo i treść gdzieś się tu czasem rozbiegają, zaczynają istnieć niezależnie, przy czym słowo próbuje żyć własnym dźwiękiem i barwą ze szkodą dla tego, czego miało być wyrazem. Tym skwapliwiej więc podkreślić trzeba walor takich trzech miniaturek ośmiowierszowych, jak „Ulicą — Różyczki — Szczyty", gdzie narzucona sobie przez autora zwięzłość formy opłaciła się sowicie.

Zbiorek Żukrowskiego jest bardziej jednolity i harmonijny. Można by określić go krótko: poezja żołnierska. Określenia tego należałoby raczej zaniechać, gdyż łączą się z nim u nas zasadniczo wspomnienia pewnej wierszowanej łatwizny patriotycznej. Nie mniej to jest naprawdę poezja żołnierska. Jej atmosferę uczuciową i nastrój najlepiej może wyraża taki urywek „Modlitwy armii podziemnej":

Dziś dłonie wyciągnięte i nie pomaga nam nikt,
oto się łamią nadzieje na Francji zawisłe i Anglii,
o Ciebie ufność wsparła naród okutych we krwi:
daj, niech o szalę zadzwoni klinga ułańskich szabli!
Teraz w pierścieniu pożarów prawda się jawi jasno,
Naród w Twe wargi wpatrzony czeka na hasło.

Ta szabla ułańska, rzucana na szalę wojennych wydarzeń 1939 r., te konie, srebrne podkowy wróżby, biwaki, modlitwa jak szkaplerz zawieszona na piersi — wszystko to rekwizyty, które dobrze znamy, rekwizyty, z którymi się u nas walczy, wyklinając prozę Żukrowskiego i Pruszyńskiego, jako jurną i ułańską, intelektualną i sienkiewiczowską. Krytycy zapominają, że w tym także jest część prawdy o wojnie roku 1939, ostatniej chyba wojnie, do której rekwizyty te jeszcze pasują, w której nie są jeszcze sztuczną dekoracją. Żukrowski przeżył tę wojnę na koniu. Było to wprawdzie w konnej artylerii, ale w poezji odbiło się to mimo woli po ułańsku. Tu jednak odpadł ułański temperament, jurność i buńczuczność. Ostał się tylko liryzm, jakby zabarwiony sentymentem ułańskich piosenek powstania listopadowego. Każdemu, kogo by to raziło, możemy powiedzieć, że to chyba ostatnia poezja ułańska w literaturze polskiej, ostatnia tak bezpośrednio i rzeczywiście przeżyta, tak prosta i bezpretensjonalna w swym uczuciowym wyglądzie. Nad całą tą poezją unosi się cień klęski i melancholii. Może to świadomość tej ostatniości sprawiła, że wiersze Żukrowskiego zabarwiły się tym subtelnym smutkiem, z jakim spoglądamy na sprawy, które już nie powrócą. I dlatego warto chyba zgłosić postulat, by zanim będzie za późno ukazał się cały okupacyjny tomik Żukrowskiego „Rdza", z którego pochodzą wiersze „Arkusza". Stanowi on niefałszowany poetycki dokument wojny 1939 r., wierne i artystycznie doskonałe odbicie jednej z jej stron, której w całości obrazu pominąć nie można. Żukrowski, technikę swobodnego, spojonego wewnętrzną melodią wiersza, umiejętnie podkreślaną nieregularnie rozmieszczanym rymem, opanował w stopniu, jakiego pozazdrościć mu może niejeden z tych poetów, którzy nie uciekli ku prozie. W tych wierszach motywy, wiodące swą historię od piosenki „O żołnierzu tułaczu" otrzymały nową poetycką szatę, której talent Żukrowskiego nie poskąpił bogatych akcesoriów i która decyduje o tym, że trzeba wojennym wierszom tego dziś już zdecydowanego prozaika wyznaczyć w poezji żołnierskiej osobne miejsce z niepośledniej rangą. „Arkusz" daje częściowe tylko pojęcie o walorach tych wierszy, które komuś mogą się nie podobać, ale którym trzeba wierzyć.

Janina Zabierzewska - Żelechowska, autorka przedwojennych tomów „Przez śląskie okno" i „Myśli na zwiady", nieszczególnie przypomniała się czytelnikom arkuszowym wyborem. Dwa wymienione tomy przedwojenne, to dwa odrębne regiony poetyckich wzruszeń i przeżyć. Pierwszy z tych regionów, patriotyczny i społeczny, zaprowadził Zabierzewską na manowce rymowanej publicystyki; drugi — osobisty, zamknięty w skali kobiecej refleksyjności i uczuciowości — wytrzymał artystyczną próbę. Tym razem autorka znów, niestety, sięgnęła do skromnych zasobów pierwszej swojej tematyki i dała zbiorek śląsko-patriotyczny. Nie ustrzegła się więc estradowej retoryki, która sugeruje utylitaryzm. Warto więc przypomnieć, że w tym gatunku poezja polska wydała od czasów Asnyka (nie zapominając i o Mickiewiczu) rzeczy mistrzowskie. Dziś grozi nam niebezpieczeństwo zamierzonej „poezji dla mas". Obowiązkiem krytyki jest ostrzegać przed tym niebezpieczeństwem i przed złudą jej pożytków. Zamierzona „poezja popularna" (taka dla świetlic) nie istnieje. Powstaje ona, mimo zamierzeń autora, w wyniku stosowania form bardziej przez ogół przyswojonych i komunikatywnych, ale stanowiących zarazem kształt wyrazu autorowi istotnie bliski i niewymuszony. Sprawność władania rzemiosłem wystawiona jest tu na najcięższą próbę i trzeba nielada talentu, by próba ta wypadła tak świetnie jak u Broniewskiego, jak w wojennych wierszach Ważyka czy Putramenta, jak w ostatnich wierszach Szenwalda. Drogi rozwoju poetyckiego Ważyka i Szenwalda wskazują najlepiej, przez jakie etapy przejść musi poeta, by w chwili, gdy trzeba przemówić do wszystkich, nie zawiodło go słowo i umiejętność posługiwania się nim. U Zabierzewskiej tam, gdzie treść wyrażana podsuwa potrzebę patosu i gdzie ten patos rzeczywiście się pojawia, kończy się poezja, by pojawić się znów tam, gdzie wyrazu domaga się refleksyjny liryzm. Drugim punktem, w którym wiersz Zabierzewskiej zawodzi, jest liryczny opis (wiersze dolnośląskie), który jest rozwlekły, mało precyzyjny i plastyczny, jakby sztucznie konstruowany, nie narzucony intensywnością doznania. Zestawienie opisu Zabierzewskiej ze zwartym i rozjaśniającym jak błysk opisem Żukrowskiego potwierdzić może to spostrzeżenie. Zły dobór arkuszowych wierszy sprawia wrażenie, jakoby u Zabierzewskiej w ciągu ostatnich lat dziesięciu nastąpiło poważne cofnięcie. Ten „Arkusz" wymaga rehabilitacji.

Jan Pierzchała jest talentem in statu nascendi. Wojna opóźniła rozwój i start, ale rozsypane po czasopismach wiersze tego poety kazały wiązać z jego „Arkuszem" większe nadzieje niż te, które zostały spełnione. Przede wszystkim trochę niedźwiedzią przysługę wyświadczył sobie Pierzchała, drukując na wstępie zbiorku poemacik „Drzewiorz", który jako wierne powtórzenie techniki poetyckiej Szewczyka, zademonstrowanej w debiutanckim „Hanysie", należy już chyba do skończonego etapu rozwojowego autora. Poeci, debiutując często przejawiają skłonność do „historycznego" prezentowania swego dorobku, zamiast dawać rzeczy najlepsze bez względu na czas ich powstania. O wiele mocniej przemawia do przekonania druga część zbiorku, szczególnie cykl „Wyznania". Tu jeszcze podźwiękują dalsze wpływy poezji Szewczyka, ale obok nich wyraźniejsza już jest dobra szkoła poezji skamandrowej, z którą autor poradził sobie wcale nieźle i której przejście nie pozostanie bez pożytku. Tego rodzaju odczytywanie zależności poetyckich debiutanta mówi o nim czasem równie dobrze jak podkreślanie tego, co w jego wierszach jest nowe i własne. Przed czym jednak należałoby przestrzec Pierzchałę, to chyba przed autobiografizmem i przed skamandryckim grzebaniem się w szczegółach rzemiosła poetyckiego. Przyglądając się uważnie temu debiutowi, można wyrazić przekonanie, że mimo swej nieefektowności stanowi on zapowiedź, która nie każe długo czekać na trwałej wartości rezultaty. Pierzchała nie jest samotny. Obok niego istnieje we Wrocławiu młoda grupa poetycka o jednolitym mniej więcej rodowodzie społecznym i geograficznym, która powinna wkrótce zluzować lub wzbogacić czołówkę poetycką Śląska.

Jeśli dotychczas omówione arkusze prezentują bądź pewien dorobek, bądź ambicje i zapowiedzi, „Arkusz" ostatni, jedenasty, należący do Józefa Nachta-Prutkowskiego, świadczy o pogrzebaniu wszelkich ambicji i zawodności „pokładanych nadziei". W kilku lirykach, stanowiących pierwszą część zbiorków, błysła jeszcze śmiała i jędrna metafora, zbudowana zwarcie i narzucająca silnie obraz poetycki. Jest to wspomnienie tego, czym legitymował się ten poeta, debiutując przed piętnastoma laty i co otwierało przed nim perspektywy. Niestety tylko wspomnienie i to przykre jak stracone złudzenia. Liryki śląskie rażą zwyczajną nieudolnością w wyrażaniu nieskomplikowanych przeżyć, są dziwnie prostackie i prymitywne, żałosne w swej artystycznej nieporadności. Wiersze okolicznościowe kwalifikują się do gazety. Na codzień, bo na niedzielę wypadałoby drukować lepsze.

Ostre nawet słowo krytyki dla takiej czy innej pozycji „Arkusza" nie dyskwalifikuje wydawnictwa. Przy jedenastu pozycjach o pomyłki nie trudno. Próba druku jest najbardziej niezawodną, jest sprawdzianem, koniecznym dla środowiska i jednostki. Koryguje i pobudza. Tu, gdzie poezja długie lata była obciążona niedobrymi tradycjami, z których nie zawsze się jeszcze umie wyzwolić, takie sprawdziany, choćby nawet tak skromnie dawkowane jak „Arkusz", są szczególnie potrzebne. Krytyka i czas przetrzebią błędy, po których oddzieleniu pozostanie garść czystego ziarna poezji, które będzie owocować. Będą to owoce, nasycone treścią o swoim własnym, odrębnym smaku, bo osobliwe są soki tej ziemi, które owocowanie to zasilają.

ZDZISŁAW HIEROWSKI.

Krótkie spięcia

Non possumus!

Ponieważ niedawno miniony okres był okresem wczasowo-wakacyjnym, więc jak zwykle co roku w miesięcznikach, tygodnikach, dziennikach i tym podobnych -ikach ukazało się całe mnóstwo felietonów, impresji, essayów, wypowiedzi, migawek itd., skomponowanych przez kwiat naszej literatury na tematy właśnie wczasowo - wakacyjnie - literacko - kulturalne.

A wszystko to wyglądało tak:

Ciumciumkiewicz pisał, iż nad morzem spotkał się z Gibasem, Nasiedziałówną, Pipsztyckim i Bimbakiem. Że Bimbak był strasznie miły, Nasiedziałówna dowcipna, Gibas uroczo grał w bridża, a Pipsztycki tańczył cudownie boogie-woogie.

Gibas zaś znowu pisał, iż Ciumciumkiewicz jest kapitalny, Nasiedziałówna strasznie miła, Bimbak dowcipny, a Pipsztycki uroczo gra w bridża, i cudnie tańczy boogie-woogie.

Nasiedziałówna natomiast pisała, że Pipsztycki jest strasznie miły, Bimbak kapitalny, Gibas uroczo tańczy boogie-woogie, a Ciumciumkiewicz cudnie gra w bridża.

A Pipsztycki znowu pisał, iż Bimbak jest kapitalny, Nasiedziadziałówna uroczo gra w bridża, Gibas jest strasznie miły, a Ciumciumkiewicz cudnie tańczy boogie-woogie.

Wreszcie Bimbak pisał, iż Pipsztycki cudnie gra w bridża, Nasiedziałówna uroczo tańczy boogie-woogie, Gibas jest kapitalny, a Ciumciumkiewicz strasznie miły.

I tak było wszędzie, czyli w każdym mniej więcej miesięczniku, tygodniku, dzienniku i innym -iku. Dowiadywaliśmy się stamtąd, co jada na śniadanie liryk Obzdryngał, co powiedział prozaik Mordobijski do krytyka Fistuły, w jakiej pozycji leżała na plaży słynna poetka Pindzianka i czy Staś Pergolski miał przyjemny wyraz twarzy, gdy się fotografował na tle.

Właśnie Staś Pergolski, a nie broń Boże Stanisław. Bo Staś, to wiadomo — inaczej brzmi. W praktyce poufale, ale jednak uroczo. Więc Staś pisze o Jasiu, Jaś o Ptasiu, Staś o Siasiu, a Siaś o Basiu.

Co godnego zauważyła Rypalska w Dyrdymałowie-Zdroju? Rypalska zauważyła tam Kocia Pietrasa. Co widział Migdał w Paryżu? Migdał w Paryżu widział, jak Ryś Wirydarz jadł winogrona. Jakie zdarzenie utkwiło w pamięci Kostropatemu w czasie kąpieli w Bałtyku? Zdarzenie takie, że kąpiący się z nim Kryś Piernat powiedział doń: „Ach jak przyjemnie kołysać się wśród fal..."

I tak w kółko.

Jak to się nazywa? To się nazywa „epater les bourgeois". Bo Ptysiom, Rysiom, Bysiom, Siasiom, Stasiom i Jasiom się zdaje, że dla tzw. szarego czytelnika to właśnie jest najbardziej interesujące. Że ten czytelnik tym się zachwyci. Zachłyśnie. Zakszusi. Zadławi.

Że na wieść o tym, iż Byś z Brysiem pili razem wódkę w Zakopanem, czytelnik ów aż oniemieje z wrażenia, a fakt, że Ptyś spotkał Kicię ubraną w szorty, wstrząśnie nim do głębi.

A tymczasem my szarzy czytelnicy prosimy i błagamy: Nie chcemy wiedzieć, co się śniło Rymcymcymskiemu ubiegłej nocy. Nie chcemy wiedzieć, w jakim kapeluszu chodzi Fidoncka w każdą środę! Nie chcemy wiedzieć, jak trzyma fajkę w ustach Paranojski! Nie chcemy wiedzieć, co Zapała powiedział do Dyrdały, gdy ten go spytał, jaka będzie jutro pogoda! Nie! Nie chcemy!

Nie chcemy nic wiedzieć o dowcipach Ciumciumkiewicza, o wygibasach Gibasa, o bridżu Nasiedziałówny, o spodenkach kąpielowych Bimbaka, o systemie trawiennym Pipsztyckiego, o apetycie Obzdryngała, o poglądach Mordobijskiego na Fistułę (i odwrotnie), o pozycjach Pindzianki, o wyglądzie Pergolskiego, o spotkaniu Rypalskiej z Kociem Pietrasem, o widzeniach Migdała, o winogronach Rysia Wirydarza, o rozmowie Kostropatego z Krysiem Piernatem i o prywatnych czy intymnych sprawach Ptysiów, Rysiów, Brysiów, Bysiów, Jasiów, Stasiów i Siasiów!

Hej hej — nie chcemy!

NIEJAKI X

W jednym z najbliższych numerów „Odry" Edmunda Osmańczyka

„Strach przed przemianą"

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Sp. Wydawn. „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08

R-16671